

*J. Czyż*

BOGUSŁAW . ADAMOWICZ

*Nr 1144.*

# W STARYM DWORZE

POWIEŚĆ FANTASTYCZNA



~~BIBLIOTEKA  
URZĘDNI: TOVA... w KRAKOWIE  
SZKOLA IV.~~

KRAKÓW

CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASO”

1909.

*VF*

A-18538



1000173327

Literat. 13a

BIBLIOTEKA

UM

LUBLIN

K.1160/56/53

Nakładem Autora.

# CZARKOWOM

POŚWIĘCA

*Autor.*

ON A R. K. H. G. M.

ROZDZIAŁ I.  
NAUCZYCIEL PRYWATNY.

---

*Spiritus flat...*

Stołowałem się w pensyonacie pani R., gdzie miałem możliwe a nie drogie obiady i przy stole trochę towarzystwa, co w znacznej mierze okraszało smak niewybrednej kuchni.

Były tam jakieś niebrzydkie panny, paru studentów uniwersytetu, czasami ktoś ciekawszy z okolicy, a przedewszystkiem nieodzowny gość pensyonatu, pan Karski, z którym w przyjemny zawsze sposób można było porozmawiać o spirytyzmie. Lubilem bardzo ten temat po obiedzie.

Pan Karski był to zawołany zbieracz, a jeszcze zawołany opowiadacz najrozmaitszych anegdot o duchach, niekiedy nawet zabawnych. Suggestyoner, magnetyzer, telepata — i Bóg wie jeszcze jakiego, tym podobnego, należałoby użyć wyrazu, chcąc z dokładnością określić liczne zajęcia jego i powołania. Lekceważąc zupełnie, tak jak i własne swe interesa, wszelkie czcze znikomości doczesnego życia, pan Karski cały był pochłonięty

tajemnicami pozagrobowymi. Oczywiście, głębie swej wiedzy mistycznej czerpał przeważnie z jakiegoś spirytystycznego pisemka, które, zdaje się, wychodziło w języku rosyjskim i nazywało się nie bez słuszności *Rebusem*. Pisemko owo, jak zły duch, opanowało istotę tego niepowszedniego zresztą człowieka i często przezeń mówiło samo... Bardziej mnie jednak zajmował jego osobisty dowcip, spryt i lotny zmysł obserwacyi, a przede wszystkim jego sympatyczny i zawsze czuwający humor.

Przyznać należy, że jak każdy niemal myśliwy, tak samo i zawodowy spirytysta, goniący za jeszcze rzadszą zwierzyną, mają zazwyczaj prawdziwie twórczą fantazyę. Lubią opowiadać barwnie i barwniej od samych poetów, a w razie gdy zabraknie im niezbędnej pointy w rzeczywistem, opowiadaniem przez nich zdarzeniu — stwarzają ją w lot na poczekaniu, idąc za głosem potrzeby artystycznej.

Naprawdę, niejednu myśliwy, pomimo swej manii sportsmeńskiej, jest urodzonym poetą i więcej kocha przyrodę, niż samo nawet owo mordownicze włóczęgostwo za wierzem. Niejednu spirytysta, kręcący kark w kołowrocie chimery, przy mniejszem bogactwie umysłu, przy słabszej zwłaszcza wyobraźni, znalazłby dosyć sprytu i złośliwości, ażeby uprawiać literaturę „na seryo“, t. j. na wspólkę z farbą drukarską i atramentem.

Ba! musiałby być jeszcze do tego może trochę i snobem, by mu się opłaciła ta nieodzowna spółka...

Któregoś dnia wcześniej powychodziły damy, spiesząc zapewne do szwaczek albo do sklepów za sprawunkami, więc ku najwyższym rozkoszom godziwym w oczach tych zależnych istot. Zaś koleżanki studentki, które i strojów się wyrzekły dla „wiedzy — potęgi“, przez cały obiad zaglądały w kajety, marząc nieustannie o słodkich wniebowzięciach, jakich doznaje lojalny duch tych istot niezależnych w bogobojnem ćwiczeniu pamięci. Poszły „kuć“ dalej.

Pozostało nas kilku mężczyzn przy stole. Rozsiedliśmy się wygodniej i dopijając kawę, głębiej odetchnęliśmy dymami cygar i papierosów.

Zaczęto naturalnie zaraz mówić o kobietach, jak zwykle trochę po męsku i niemiłosiernie, a potem o wyborach, któremi się więcej znacznie zajmuje naród, aniżeli pracą wybrańców swych w parlamencie.

Dwaj tak zwani akademicy, czyli studenci uniwersytetu, filozof z II. roku i matematyk z I., zaczęli „dyskutować“ na temat politycznej misji wielkiego acz małego wzrostem narodu — Japończyków.

Dyskusya młodych to muszla, oddająca bezładnie to wszystko, co robi na świecie wrzawę. Kiedy, wzbierając gazeciarskim poszumem i echem próżnych auli uniwersyteckich, dochodziła już do ostatecznego zamieszania pojęć, pan Karski przerwał ją nagle odezwaniami się:

— Wiecie panowie — rzekł — ja słucham waszej zajmującej rozmowy i zastanawiam się tylko,

kto ma słuszość, a widzę, że żaden z panów jej nie ma w tej „dyspucie“. To wcale nie dla złej metody prowadzenia sporu; owszem, tylko dlatego, że rozmawiacie o polityce. Dlatego nie macie obaj słuszości. Polityka to rzecz niegodna waszych świeżych i niezapstrych umysłów. To dobre dla starych, niedowiarków.

— A cóż, podług pana — zapytał matematyk — jest godnym umysłu młodych?

— No cóż? Bardzo wiele rzeczy.

— Ale co naprzykład?

— Oczywiście to, co jest wielkiem i wzniosłem i co jest rzetelnie ważnem. Bo czy Japończycy będą mieli większą flotę, czy mniejszą, to wierzcie mi panowie, jest wobec zasadniczych kwestyi istnienia, rzeczą absolutnie błabą. Czemu nie chcecie zastanowić się naprzykład nad tem, czy jest jakaś wyższa istota lub siła, prawdziwie światem rządząca, lepiej i niezawodniej niż ci, co wygrywają wojny? Czemu nie rozprawiacie o zagadnieniach duszy?

— A pan znowu ze swoim spirytyzmem! Niechże pan choć raz jasno powie: co to jest spirytyzm?

— Spirytyzm — to chodzące spodeczki, od których nasza Frania już prawie rozum straciła — rzekł, śmiejąc się, filozof do kolegi.

— Nie panie — odrzekł Karski — to są te wszystkie niezbadane zjawiska, z których wnosimy, że istnieje jakaś łączność pomiędzy naszym życiem a życiem tych, co poumierali.



— Niema żadnej łączności — to przesady. Nauka tego nie uznaje.

— Nauka nie uznaje? Właśnie tu pozwolę sobie panu zaprzeczyć! Zajmują się tem tacy wielcy uczeni jak Crookes, Richet, Derochas, Lubock...

Tu się zatrzymał przez chwilę spirytysta, a wzrok jego błysnął ostrym płomykiem złości.

— Ale jeżeli i to — rzekł — panom nie wystarczy, jeżeli zaprzeczycie tytułu uczoneści i tym autorytetom, to powiem wam, że i taka sława wszechświatowa zajmuje się temi kwestyami, jakiej chyba nie odmówicie kompetencji. Tak, panowie — sam wielki Fryderyk Menszel! Profesor Fryderyk Menszel zajmuje się spirytyzmem!

Tu spojrział na młodych z tryumfem i zadowoleniem.

— A! jak piorunem razilem — zawołał.

— Skąd on wytrzasnął tego Menszla? — pomyślałem ubawiony. Czyżby znowu z „Rebusa“?

— Jakto, panowie nie wiecie, kto jest profesor Menszel?

— Nie słyszałem o nim — rzekł pocziwie, choć z ociąganiem się, matematyk.

— To nic dziwnego, bo pan nie chodzi na filozofię. Lecz pan, na drugim roku filozofii — to dziwne, że o nim nie słyszałeś. Pan widzę, niezbyt ucześnie na wykłady.

— Tak... Menszel... słyszałem, ale, wie pan, on nie zdaje mi się tak znowu wielce sławnym uczonym...

— To usłyszysz pan na wykładach o nim może za dwa lata dopiero. Fryderyk Menszel, proszę pana, nie Michael, który też jest znanym jako jeden z najgłębszych psychokoprologów... A teraz ja mogę panu powiedzieć, jakie stanowisko zajął ten wielki uczyony wobec spirytyzmu. Chce pan posłuchać?

— Proszę.

— Więc chwila uwagi — zaczął Karski:

— Jeżeli przytrafiło się komu z panów kiedykolwiek w życiu widzieć dom opuszczony, z pozabijanemi z zewnątrz okiennicami — to był to z pewnością jeden z domów, w których „straszy“ — i dlatego nie mieszkali w nim ludzie.

— W każdym domu, gdy się go pozostawia pustym, wyjeżdżając na wilegiaturę, zamyka się okiennice — wtrącił żartobliwie student filozofii.

— Tak, ale potem się wraca i mieszka w nim znowu — odparł Karski i ciągnął dalej opowiadanie:

— Domów takich nie brakło nigdy na świecie. Zaraz mogę panom wskazać jeden, tu u nas — koło rogatki — gdzie się skręca do koszar. Lecz jest ich i gdzieindziej dużo. W każdym prawie mieście znajdują się takie osamotnione budynki, zwykle na kresach, a czasem i w śródmieściu — w dużych, zarosłych, widocznych od ulicy tylko przez sztachety parkach. Najczęściej jednak bywają to ustronne dwory szlacheckie, w pobliżu leśnych uroczyisk, lub starożytnie zamki w dzikich górskich okolicach. Mimo zdrowego powietrza

wsi, pięknych dookoła widoków, a nieraz i prawdziwego przepychu w urządzeniu tych siedzib, nie lubią mieszkać w nich właściciele. I chociaż nie się nikomu nie mówi (panowie rozumieją, że nieprzyjemnie takimi rzeczami się chwalić), jednak wszyscy doskonale wiedzą, czemu bogaci dziedzice opuszczają swe rezydencje i zamiast siedzieć szczęśliwie u siebie, wolą wlec życie jałowo zagranicą, w mniej pięknych miejscowościach i w mniej wygodnych warunkach. Bo w domu ich „straszy“.

— A w Monte Carlo nie straszy z pewnością? — wtrącił mój sąsiad z lewej strony, obywatel ziemski, wpatrując się z rzewnym smętkiem w dym swego niehawańskiego cygara.

— Jeżeli starożytniejsze rody — zwróciłem się do niego — słynące z przywiązania do miejsc urodzenia, nie zważając na nic, mieszkają stale w swych zamkach, to nie zawsze wychodzą na tem dobrze. Kończy się to czasem nawet i bardzo smutno, jakąś tajemniczą tragedją w rodzinie...

— W rodzaju tych okropności — podchwycił gładko student — o których wielki Edgar Poe poucza nas w swych grozą przejmujących nowelach...

— Lub śmiercią — ciągnąłem — głównego członka rodu. A w najszcześniejszych wypadkach odbija się to jakąś szczególną manją, albo dziwactwem na znikczemniałych potomkach, mających odwagę pozostawać w rodzinnych gniazdach,

skąd wyganiają ich duchy wielkich ojców umarłych.

— Co do mnie, wtrącił matematyk, gdybym miał taką posiadłość, nie wyrugowałyby mnie stamtąd nietylko strachy, ale nawet i lichwiarze. „Jestem młody i silniejszy, niżli wszystkie trupy razem“.

Pan Karski kiwnął na mnie, ubawiony tem dogadywaniem

— Ależ, proszę panów — rzekł — czy to są duchy umarłych? Nie wiemy. W każdym razie wygania ich z domu coś, co jest niepojętem i niedostępnem nawet dla bardzo filozoficznych umysłów, to coś tajemniczego, co lud nazywa „strachami“, i co z pewnością straszy, bo ludzie tego się boją... Ludzie nietylko boją się duchów, lecz nawet rozmawiać o nich nie bardzo lubią wieczorami, a w dzień uspakajają się w wygodny sposób: twierdzą kategorycznie, że nigdzie żadnych duchów niema.

To tak wy wszyscy panowie młodzi uczeni robicie. A niechno wam tylko coś puknie w nocy w ścianę — toż dopiero w kąć pójdzie ironia, a głowa — pod poduszkę. Czyż nie prawda? Czasem na samą myśl o takim jakimś zjawieniu się stracha o północy, przeżegna się zawołany atensz...

— Czy to jest zła, czy dobra siła, panie Karski? — zapytałem, robiąc poważną minę.

— Ha, czy to jest złe, czyli dobre, nie wiem, wolę nie przesądzać. Zdaje mi się, że duchy nie są ani złe, ani dobre. One są po prostu — duchy.

Słuchałem, jak zawsze, z przyjemnością, bają sympatycznego spirytysty, który tchnął cały humorem, marszcząc czoło z powagą zawodowego znawcy.

Lecz był ktoś jeszcze przy stole, kto z wyrażeniem zajęciem przysłuchiwał się jego opowiadaniom.

— Ktoby chciał — ciągnął Karski dalej — zadać sobie trud policzenia wszystkich miejsc, gdzie straszy, stwierdziłby, jak znaczną jest ich ilość nawet dzisiaj. Był jednak czas, kiedy ich było nierównie więcej.

— Kiedy to było? — zapytał filozof, lecz pan Karski puścił mimo uszu pytanie.

— Otóż te wszystkie zjawiska, które nazywamy dziś spirytyzmem, mniej były wówczas lekceważone. Nawet niektórzy bardzo wybitni uczeni — tak, panie, dodał z naciskiem w kierunku studenta — wierzyli w ich naturalność i z całą powagą oddawali się badaniu. Chcieli nawet o tym odmiennym świecie stworzyć całą wiedzę odrębną, całą specjalną naukę o duchach.

To wielkie zadanie podjąć zamierzył właśnie profesor Menszel.

Za liczne i nie byle jakie usługi, które oddał ten wielki człowiek ludzkości na polu t. zw. wiedzy pozytywnej, posiadał profesor od państwa i różnych uczonych towarzystw liczne i nie byle jakie naukowe tytuły. Nie brakło mu też i honorowych odznak, któremi dekoruje się piersi tylko najlepszych i najzasłużeńszych mężów narodu.

Świat pewny był, że w takim uzbrojeniu, lepiej niż kto inny, nadaje się Fryderyk Menszel do prowadzenia subtelných dociekań w nowej, szeroko otwierającej się, a tajemniczej zupełnie dziedzinie. Przewidywano już z góry świetne wyniki podjętych przezeń badań, tembardziej, że światły ów mąż objawiał prawdziwe ku temu powołanie.

Od wielu lat już gromadził i skrzętnie notował wszelkie osobliwe zdarzenia, które w braku wyraźnego pojęcia, czem są w istocie, nazywał telepatyą, medyumizmem, mesmeryzmem i tym podobnemi słowami. Pracę swą prowadził nad wyraz systematycznie przy pomocy całego szeregu również gorliwych i uzbrojonych powag wiedzy, a ułatwiały mu ją do pewnego stopnia i znaczne subsydia rządu, gotowego, jak wiecie, w każdej chwili popierać wszelkie poważniejsze naukowe wysiłki...

Lecz, jak i większości tych, którzy o podobnych faktach słyszą, myślą i opowiadają, nie przytrafiło się także i jemu samemu w całym jego życiu — a dobiegało ono już prawie szóstego krzyżyka — nic nadzwyczajnego.

— Czy nie tak samo, jak i panu, panie Kar-ski — nie mogłem nie wtrącić uszczypliwie.

— Nie przytrafił mu się nawet — ciągnął — żaden wypadek „telepatyczny“, to jest ujrzenia albo odczucia czegośkolwiek przez znacznieszą odległość przestrzeni, ducha zaś nietylko, że nigdy nie widział oczyma, lecz nawet nie udało mu się sprostredz nic takiego, coby mógł uznać,

jako najbledszy bodaj objaw jego, dowód lub nawet ślad jego istnienia.

Tymczasem objawy te stawały się coraz częstsze i coraz były oczywistszymi dla niektórych ludzi, i naraz zaczęto o nich wszędzie głośno mówić. To tu, to ówdzie spotkało kogoś coś niestychanego. Ktoś posłyszał w nocy szept jakiś podejrzany, jakby z sypialni tamtego świata się przedostający, komuś coś niegłupiego wypukał stolik. Pan X. zmuszony był spędzać noce bezsennie na pijaństwie, bo jakieś widmo złowrogie wyciągało go niemilosiernie z łóżka. Pan Y. starał się rozpaczliwie o rozwód, bo ilekroć spojrzał na żonę, zdawało mu się, że widzi jakąś potworną marę przed jej twarzą... I cała moc tego rodzaju opowiadań, w różnych waryacjach i z poprawkami, stała się modną rozmową, nawet w najwybredniejszych salonach.

Fryderyk Menszel nie należał bynajmniej do kategorii uczonych, lekceważących nawet takie opowiadania. Umysł głęboki, doświadczony w ćwiczeniach, nie odrzucając na niczem nawet, rzekłbyś, nieopartych pozorów możliwości faktu, trzymał się tylko w wyborze rozumnej zasady ścisłego krytycyzmu. Cierpliwie czekał na dane bardziej wyraźne i wiarygodne, któreby mógł nareszcie z dostateczną niezaprzeczalnością stwierdzić.

I oto nastroczyła mu się bardzo pomyślna sposobność.

Któregoś dnia rozgłosiły dzienniki niezmiernie sensacyjną wiadomość. Trudne do uwierzenia rze-

czy dzać się zaczęły w pewnem miasteczku na Zachodzie, miasteczku \*\*. Już od szeregu lat strachy dawały się mocno we znaki całej ludności, chociaż ciemne pospólstwo, i obojętna, jak zwykle inteligencya, nie przypisywały zbyt wielkiego znaczenia tym enuncyacyom. Tymczasem zaniedbanie to (o czemże myślały władze? — był przypisek redakcyi) spirytystycznych objawów jakież oplakany wydało w końcu rezultat? Ilość nawiedzonych domów, których początkowo i tam było, jak w każdym innem mieście — jeden, szybko zaczęła wzrastać, a teraz już cała niemal dzielnica, bo ze dwanaście domów, świeciła pustkami, zajęta przez jakieś „nierealne“ moce, które zdołały wyprzeć żywych z krwi i kości ludzi z ich domowego ogniska!... I nieszczęśliwi wygnańcy za żadne skarby świata nie daliby się skłonić do ponownego zamieszkania w swych domach. Tak strasznie wszyscy boją się „duchów“.

Niezmiernie ucieszył się Menszel tą nader pomyslną wiadomością. Wyborne otwiera się pole dla prowadzenia badań. Był już zupełnie pewny, że uda mu się nareszcie spotkać z tem, czego tak długo poszukiwał napróżno. Wyjechał więc, nie zwlekając, do owego miasteczka, z postanowieniem zamieszkania tam w najniespokojniejszym z nawiedzonych domów.

Profesor był jednym z tych bardzo niewielu ludzi, którzy prawdziwie „ducha“ się nie boją.

Tu zamilkł opowiadający i wodził po nas chytrem wzrokiem.



— Cóż dalej? — pytano się.

— Na czemże się skończyło? — Co profesor zbadał?

Pan Karski milczał i pewny byłem, że szuka pointy dla swej anegdoty.

— Niechże pan powie, co widział tam Menszel?

— A no — rzekł, śmiejąc się, spirytysta — oczywiście, nic. Mieszkał po kolei we wszystkich nawiedzonych domach — i ducha nie zobaczył...

Nastąpiło rozczarowanie.

— To wszystko, co pan opowiedziałeś, wygląda trochę na niezgrabnie wymyśloną bajkę — odezwał się matematyk.

— Czy dlatego, że Menszel duchów nie widział? — odrzekł żartobliwie Karski. — A gdyby je był ujrzał, toby się panu wydało podobniejszem do prawdy?

— Nie, niemożliwą jest rzeczą, by mieszkańcy aż dwunastu domów zachorowali jednocześnie na taką fantastyczną trwogę.

— Bo spirytystom — wtrącił filozof — zawsze za mało nadzwyczajności, więc w głowie mają tabliczkę mnożenia.

— Niech się pan przyzna — rzekłem do pana Karskiego — że ten profesor Menszel, to jakaś mniej znana osoba. Słyszałoby się o jego wyprawie.

— Otóż najsumienniejsz zaręczam — rzekł, uśmiechając się — że Menszel duchów nie widział...

— E, to wszystko jest poprostu błagą — odrzekł ośmielony student.

— Jeżeli panowie nie umiecie dopatrzeć się w tem prawdy, tem gorzej dla was.

— Niechże się pan choć przyzna, że o tem nie było w dziennikach — rzekłem.

— Owszem, o Menszlu słyszałem już przed dwoma laty, to sławny badacz ducha. Ja znam tę całą historję i mogę panom ją opowiedzieć ze wszystkimi szczegółami — odezwał się głos milczącej dotychczas i uważnie przysłuchującej się osoby. Był to gość przelotny pensyonatu, znany jako „profesor“. Myślałem, że jest nauczycielem gimnazyalnym. Fizyognomia jego i zachowanie niczem nie zwracało na siebie uwagi. Wyróżniał się chyba tem, że był najbardziej milczącym ze stołowników.

— Pan nie pamięta, co profesor Menszel robił, szukając duchów w owem miasteczku? — zwrócił się do pana Karskiego.

— Nie, proszę pana — odpowiedział ten, wlepiwszy weń oczy zdziwione i przestraszone, jak gdyby miał przed sobą waryata.

— To może pan pozwoli, abym ja opowiedział?

— Proszę...

(Z miny pana Karskiego niewiadomo było, czy ma parsknąć śmiechem, czy wybuchnąć oburzeniem.

— No, patrzcie go... — mruknął do mnie z cicha — kpi sobie najwyraźniej, to ja sam przecież wymyśliłem tę całą szopkę z Menszlem i z duchami, żeby zażartować z tych napuszonych młodzików.)

— Byłem pewny tego — zaśmiałem się.

— Czy pan naprawdę, mówiąc seryo, już coś o tem — zapytał Karski nieznamo.

— Zapewniam pana.

— To chyba pan mnie suggestyjonował, podając swoje opowiadanie. Bo przyznam się panu, że właśnie przed chwilą sam wymyśliłem tę bajkę.

Zaśmiano się.

— Nie daliśmy się jednak wziąć na lep — rzekli dwaj studenci.

— Nie umiem poddawać myśli — odrzekł nieznamy. — Musiał pan ją znać dawniej i wyszła panu z pamięci.

— Mimowolna reminiscencya — rzekłem.

— Która w druku nazywałaby się „plagiatem“ — dodał ktoś wesolo.

— Może pan sam się zasuggestyjonował? — dorzucił obywatel ziemski.

— To musi być coś w rodzaju telepatyi — mruknął zbity z tropu spirytysta.

— Może być nawet i jasnowidzeniem — odparł nieznamy. — Zdarza się czasem powiedzieć prawdę — kłamiąc. Wielcy poeci n. p., tworząc, wyobrażają rzeczy niby nieistniejące — a dzieła ich są objawieniem istotnej tajemnicy. Dante podobno nawet wymyślił gwiazdę, którą potem odkryli astronomowie. Natchnienie — jest jedną z odmian jasnowidztwa.

— Więc to jest jasnowidzenie... — szydzili młodzi.

— Albo „prawdziwa“ nieprawda...

irytyście naszemu nieraz zdarzało się być  
pau tego rodzaju zarzutami — lecz zawsze się  
mógł wycofać jakimś dowcipnym żartem. Zresztą  
w tonie jego opowiadań dźwięczała zwykle nuta  
satyry, która ratowała sytuację.

Tym razem jednak stracił kontenans. Zrobił zu-  
pełnie wystraszoną minę.

— Zresztą, proszę pana — rzekł nieznajomy —  
ja też kiedyś przed paru laty, posądzałem siebie  
o autorstwo całej tej pańskiej opowieści, ale my-  
liłem się bardzo. I ciągnął dalej:

— Miasteczko\*\*\*, o którym pan opowiadał,  
leżało w malowniczej okolicy, pomiędzy wzgórze-  
mi, nieco na uboczu od ludnych traktów, których  
nie brakło w kraju, i nieblisko kolei. Całe jakby  
ubrane zielenią, tonęło w sadach wiśniowych, któ-  
re, złocąc się w słońcu, wesoly i nawet radosny  
nadawały mu wygląd. Małe potulne domki zache-  
cająco wyzierały z gęstwiny, gdzieniegdzie sze-  
rokie stawy uśmiechały się do błękitów czerwco-  
wego nieba swem bladym niebieskawym srebrem.  
Ruchliwe drożki, ze wszystkich stron zbiegające  
z pagórków, przez łąki i pola zmierzając ku  
skromnej osadzie, opasłe bydło, pobrzękujące me-  
lodyjnie dzwoneczkami, śpiew niewidzialnych, za  
drzewami gdzieś odpoczywających, kosiarzy, i  
dźwięczny głos fletni pastuszej — wszystko to  
razem czyniło wrażenie spokoju i dobrobytu, au-  
reolą uietroski otaczającej tę niewinną i dobro-  
duszną, a tak w gazetach złowrogo i tajemniczo  
odmalowaną, mięścinę.

Wrażenia tego doznawał profesor, zjeżdżając na chłopskiej furmance z ostatniego wzgórza, bliski już celu drogi. I dziwnem mu się wydało, że tak naturalny i miły pozór ma podejrzana miejscowość, będąca całym, rzecz można, rezerwoarem owych sił dziwnych i tajemniczych. I że też tu, nie gdzieindziej, obrały sobie siedlisko owe fantastyczne „przyczyny“, które on właśnie zbadać pośpieszał!

Kazał się zawieść do pierwszorzędnej oberży, wskazał mu przez znajomych ze stolicy.

Schludne, wygodne domki, każdy prawie z ogródkiem, utrzymanym czysto i pełnym kwiatów, każdy obrośnięty powojami chmielu i otoczony ładnem oparkaniem z wypilowanych w serduszka i na zielono pomalowanych desek — nie zapowiadały na pierwszy rzut oka żadnych niezwykłych lub nadzwyczajnych rzeczy.

I tylko pewna szczególna osobliwość uderzyła uwagę profesora. Prawie co trzeci lub co czwarty domek miał pozabijane okiennice, ogródek nieco zaniedbany i zamknięte wrota. Przy bliższem zastanowieniu się trudno było nie dostrzedz, że jest niezamieszkałym.

Na ulicach ruch zresztą, jak na miasteczko tej miary, był dość ożywiony; przechodnie zajęci swemi zwykłemi sprawami, zdawali się wcale nie zastanawiać nad tem, że tyle duchów jest w mieście.

Zatrzymawszy się przed oberżą, ku niemalej swej niespodziance ujrzał uczony, że i ona rów-

niez jest pustą. Tak samo pozabijane okna i zamknięta brama. Ani sposobn się dostać lub dodzwonić na stróża. Co mogło znaczyć takie opuszczenie?

Któryś z przechodniów wytłomaczył mu grzecznie, że właściciel hotelu już przed kilku dniami wyprowadził się z tego domu i przeniósł swój hotel na inną ulicę.

— Lecz powodu, dla którego wyprowadził się stąd hotelarz — zapytał Menszel z rosnącym zainteresowaniem — czy nie mógłby mi go pan wyjawić?

— Owszem — rzekł z uprzejmością — tu „straszny“. Trzeba panu wiedzieć, że od czasu, gdy duchy zaczęły się zlatywać na nasze miasto, jeszcze w żadnym z zajętych przez nie domów nie działy się rzeczy tak niepojęte, jak właśnie w tym oto dawnym hotelu. Urządzą tu one formalne zjazdy... To już jest hotel duchów — dodał na końcu, grzecznie się ukloniwszy, i poszedł dalej, widocznie spiesząc gdzieś w sprawie, stokrotnie więcej go pochlaniającej.

Prawdziwie ucieszony, natychmiast udał się profesor do właściciela „Hotelu duchów“, w zamiarze — ku zupełnemu zdumieniu tego ostatniego — nabycia porzuconego domu. Targ nie trwał długo. Rad, że może się pozbyć niepotrzebnej nieruchomości, hotelarz zaraz się zgodził na bardzo niską cenę, i uszczęśliwiony nabywca, nie zważając na sumienne przestrogi wielu życzliwych mu osób, natychmiast postanowił zamieszkać w swej nowej posiadłości.

Zabrawszy z sobą potrzebną ilość żywności, zamknął się w domu, lecz przedtem go zbadał dokładnie. Było to mieszkanie doskonale urządzone, wygodne i wcale nie mające w wyglądzie swoim nic niesamowitego. Tembardziej zaciekawiało to Menszla. Postanowił zostać w niem co najmniej przez trzy doby z rzędu, nie wychodząc wcale, i wszystkie ten czas poświęcić wyłącznie ścisłemu obserwowaniu faktów, które widocznie zachodzą tam w nocy...

Pierwsza noc przeszła spokojnie; nie dało się posłyszeć nawet lekkie „pukanie“, i nawet żadnej innej, najslabszej oznaki obecności duchów nie udało się sprawdzić dzielnemu profesorowi.

Przez całą noc następną również nie zaszło nic osobliwego...

Lecz kiedy i po trzeciej nocy, mimo ciągłego wyczekiwania, wyteżonego wpatrywania się w ciemność, we wszystkie kąty, mimo czujnego nasłuchiwania z bijącym sercem i zuchwałego niemal chwilami wyzywania objawów — gdy mimo to wszystko uczony nietylko, że nie ujrzał nic zgoła, lecz nawet nie posłyszał najlżejszego stąpnięcia po podłodze czyjejs, chociażby niewidzialnej stopy (co już, na skutek samego napięcia nerwów przy bezsenności, mogłoby mu się przynajmniej przesyśleć), zmartwił się bardzo Menszel i popadł w prawdziwie zły humor.

— Tu żadnych duchów niema! — zawołał. — Pięknem się dał wykierować temu lajdakowi. Nabyłem dom niepotrzebnie...

Zrana wstał wcześniej i wyszedł z domu, zmierzając ku ulicy, gdzie dawny właściciel miał teraz nowy hotel. Idąc, układał w myśli wcale dobitne frazesy, które chciał dać do zrozumienia temu człowiekowi, jak niuczciwie postąpił, sprzedając dom pusty, bez duchów, jako dom z duchami.

Lecz ledwo się znalazł na ulicy, spotkał znajomego. Był to reporter pewnego dziennika, wysłany przez ruchliwą redakcyę w ślad za sławnym uczonym. Reporter rzucił mu się prawie w ramiona.

— Więc jakto? Żyjesz pan jeszcze? — zawołał pełen radości i zdumienia. — A całe miasto jest pewne, że już od dwóch dni zostałeś porwany przez strachy! A to wyborne! Już wysłać miałem alarmującą depezę o pańskim nagłym zniknięciu, z którą zwlekałem, co prawda, z obawy, bym nie zasmucił ludzkości przedwcześnie taką bolesną sensacją... Ale profesor nam zdrów, dzięki Bogu, i tylko blady bardzo! Musiał coś ciekawego ujrzeć! Spojrz pan! Ludziska wyraźnie boją się tędy przechodzić, zmykają na drugi chodnik... Dziś w nocy działy się rzeczy okropne u pana... Strzelanie z kominów, jak z armat, wylatywanie ogromnych kamieni, pękanie szyb... dach cały w niebieskawych płomykach... Taki u pana był hałas, że sąsiedzi przez całą noc oka nie zmrzuli... Że też pan wyprawia z duchami takie potępięcze harce!



— Widocznie żartuje pan sobie ze mnie — odciął mrożąco profesor, z trudnością hamując wściekłość. Nie działo się u mnie nic wcale. W tym domu duchów niema.

— Nie rozumiem zupełnie — zdziwił się niepomiernie dziennikarz. — Czyżby pan miał taką antymedyumiczną siłę? Więc pan naprawdę nic z tego wszystkiego nie spostrzegł?... To niepojęte! Toż każdy z sąsiadów opowie panu, co było... A pan nic nie widział?...

Wszyscy sąsiedzi potwierdzili słowa dziennikarza. Dziwili się przytem, że profesor sam nie chce się przyznać... Bo jeżeli oni z ulicy widzieli takie niesłychane rzeczy, to cóż dopiero musiało się dziać wewnątrz domu. Dodawali przytem, z niedowierzaniem pokręcając głowami, że od czasu, gdy w tym przeklętym hotelu zamieszkał uczony, objawy, które i poprzednio występowały w silnej formie, spotęgowały się jeszcze bardziej.

— Lecz ta ostatnia dzisiejsza noc — rzekli — była poprostu przerażająca. Sądziliśmy, że dom się cały zawalił.

— Wobec tak licznych świadectw, zamyślił się nasz uczony, zamyślił się długo i głęboko. A rezultatem tego zamyślenia było skonstatowanie niezawodne faktu, że jeśli nawet w hotelu jego naprawdę byłyby duchy, to on tych duchów nie widział...

— Czyżbym istotnie mógł być tak złym przewodnikiem tej siły?... — przeszło mu przez myśl i przykro mu się zrobiło. — Dlaczego — zasta-

nawiał się — gdy tyle osób te objawy spostrze-  
ga, są one niedostępne tylko dla mnie? Dlaczego  
ukazują się wszystkim, niechcącym ich widzieć,  
mniej przygotowanym i nie ożywionym wzniosłą  
ideą wyświeślenia prawdy?...

Dziwił się, dziwił bardzo, i nawet czuł się w skry-  
tości ducha nieco upokorzony niezasłużonem lek-  
ceważeniem jego osoby i wiedzy przez owe ja-  
kieś tajemne siły lub istoty.

Stanowczo, był to dziwny, chociaż nie rzadki  
typ uczonego badacza, przed którym wyraźnie  
uciekał materiał jego badań, mimo że z takim  
przygotowaniem i umiejętnością starał się go  
schwytać i przytrzymać.

Dla ostatecznego jednak przekonania się, spę-  
dził Menszel jeszcze kilka nocy w nabytym ho-  
telu, a mimo wszelkie próby i usiłowania nie  
spotkawszy w nim ducha, przenocował z kolei  
we wszystkich innych „straszących“ domach mia-  
steczka, wszędzie z tym samym skutkiem, i przy-  
szedł wkońcu do przekonania, że nie pozostaje  
mu już nic więcej, jak opuścić ten niewdzięczny  
teren. Wyjechał więc z miasteczka z tem więk-  
szem rozczarowaniem, iż nie znalazł się żaden  
amator do nabycia niepotrzebnego mu już zupeł-  
nie domu, nawet za bylejaką cenę.

Wróciwszy wreszcie do stolicy, uległ profesor  
chętnie wielu interwiewom, w których podzielił  
się z pismami namiętnie żądnymi informacji, tem  
wszystkiem co go spotkało w sławnej na cały  
świat wyprawie do \*\*\*.

A po niejakiś czasie wydał obszerne i bardzo naukowe dzieło o duchach; treścią zaś tego dzieła, jak się każdy domyśli, było oczywiście tylko to, że nic o duchach szanowny uczony nie wiedział i nic o nich nie miał do powiedzenia.

Mimo to, książka jego zyskała szeroki i zasłużony rozgłos, jako bardzo poważne i naukowe dzieło, wybornie się nadające do cytowania go w innych również poważnych i naukowych dziełach.

— A to pan ma prawdziwy dar improwizatorski — zawołał spirytysta.

— Wcale nie mam improwizatorskiego daru. Powtórzyłem to, co i pan czytał lub słyszał od kogoś, tylko ze wszystkimi szczegółami.

— Pan jest profesorem gimnazyalnym?

— Nie. Jestem tylko nauczycielem prywatnym.

— A zajmuje się pan spirytyzmem?

— Jakby to panu powiedzieć? — To raczej spirytyzm mną się zajął...

— Jakże to być może?

— Spirytyzm odegrał ważną rolę w mojem życiu, choć ja temi zjawiskami nie interesowałem się zbyt.

— Co pan powiada! Czy pan mógłby mi opowiedzieć chociażby parę takich właśnie wypadków z pańskiego życia?

— Z przyjemnością opowiem panu całe moje przejścia, tembardziej, że pan się z tego dowie coś jeszcze o znakomitym profesorze, o którym pan był zdania, że jest wymysłem pańskiej wyobra-

żni. Tylko możebyśmy przeszli do mnie na górę, tam będzie swobodniej.

— A może i pan — zwrócił się do mnie — zechce posłuchać. Pana może to zajmie, jako poetę.

Poszliśmy do jego mieszkania, które było o piętro wyżej. Zajmował dwa nieduże pokoiki w tymże pensjonacie, ze zwyczajnem hotelowem urządzeniem.

— Żona moja na wsi — rzekł — a ja tu czasem wpadam na dzień i drugi za interesami.

I poczęstowawszy nas wcale dobrem cygarem, zaczął:

— „Działo się to przed dwoma laty“...

---

## ROZDZIAŁ II.

### PRZEWOŹNIK.

---

Jakiś mój daleki, zupełnie zapomniany krewny, który umarł w M., wpadł na szczęśliwy pomysł przekazania mi testamentem dość znacznego majątku.

— Ciekaw też jestem — z nieukrywaną radością mówiłem do jednego z przyjaciół, pokazując mu świeżą wiadomość od rejenta — jakim spirytystycznym lub innego rodzaju wpływom przypisałbyś to nagle i niespodziewane ukazanie mi się... fortuny?!...

— I nagle materyalizację twych jeszcze tak niedawnych westchnień do niej? — Masz słuszość, spadki w dzisiejszych czasach ukazują się jeszcze rzadziej, niż duchy. I nikt nie odkrył sposobu ich wywoływania.

Rzuciłem natychmiast posadę nauczyciela w pewnym zamożnym domu i część zarobku przeznaczyłem na „oblanie“ dobrej nowiny w gronie najbliższych kolegów. „Bibka“ udała się świetnie i przeciągnęła do rana. Nie kładąc się już spać

wcale, spakowałem się i tegoż wieczora wyruszyłem w drogę.

Do M. miałem dwie doby jazdy koleją, lecz w połowie drogi, z małej stacyjki, musiałem zboczyć kilka mil koźni ku miejscu mego urodzenia, ażeby wydostać i uregulować potrzebne do podjęcia spadku dokumenty.

Po obliczeniu się z czasem, przypuszczałem, że za cztery lub pięć dni najwyżej, będę mógł stanąć u celu.

Przebywszy szczęśliwie pół drogi, nazajutrz rano wysiadłem szybko z pociągu, który zatrzymywał się krótko na t. zw. „przystanku“, i zacząłem starania o furmankę, o co nie łatwo w podobnych ustroniach.

Znalazł się wreszcie jakiś nie zachęcający wehikuł, lecz w braku innego i ten był dobry. Pamiętałem jak przez sen moje strony rodzinne, gdzie spędziłem tylko dzieciństwo, lecz znałem mniej więcej odległości i pewny byłem, że w Radyszczu — tam właśnie na świat przyszedłem — powinienem stanąć jeszcze przed nocą.

W pobliżu stacyi kolei krajobraz zazwyczaj jest nagi i jakby w bliznach od śladów przechodzącego tamtędy żelaznego stonoga... Tutaj zaś wyglądał jak wypłowiała płachta siermiężna, nie ożywiony krzewami, ni wodą, tylko w oddaleniu urozmaicały go biedne laski sosnowe, porastające tu — owdzie sfalowany łagodnie leniwemi wzgórzami widnokrag. W miarę zapuszczania się w głąb okolicy, zapadał kraj w bagna, zaszywał się

wygl

w lasy i bory, podobnie jak zaszywa się w koczach mieszkaniach jego, również dziko i szaro wyglądający.

Spotykałem chłopów, jadących wolno i w milczeniu na długich, drabiniastych wozach. Wydawali się, jak świeżo ulepiani z prawdziwie szarej gliny, w którą jeszcze nie tchnięto ożywczego ognia. Droga czasami gasła w moczarach lub się wmywała w kałuże, występujące obficie z powodu deszczowej pory jesiennej. Był to już bowiem początek listopada.

Około południa dojechałem do jakiejś karczmy, gdzie zatrzymaliśmy się dla popasu. W brudnej, bielonej izbie nie bardzo mi smakowało skromne śniadanie, sporządzone przez koślawego, z trzęsącą się brodą żyda.

Po dwugodzinnym wypoczynku czas było ruszać dalej.

— Zdaje mi się, że stąd już niedaleko do Radyszcza — zapytałem brodatego gospodarza. O ile przypominam sobie, to 7 do 8 mil tylko?

— Tak, 7 do 8 mil — niechętnie i z ociąganiem się odpowiedział karczmarz.

— To znaczy, że dojadę na jaką dziewiątą wieczorem?

— Tak... Osiem mil... to niby można za tyle czasu przebyć... Ale czy on pana potrafi dowieźć tak prędko... oni nie lubią tą drogą jeździć...

— Dlaczego — zapytałem zdziwiony.

— Niech się pan jego samego zapyta — Powiedźcie człowieku — zwrócił się do wchodzącego

już właśnie woźnicy — jak prędko zawieziecie pana do Radyszczu? Pilno mu bardzo...

— No, tak... już konie wypoczęły — odpowiadał chłop wolno i cedząco — jeszcze dwa razy będziem popasali. Jeżeli doda mi pan coś jeszcze, to staniam tam jutro rano.

— Siedm mil jechać dobędę! — krzyknąłem — Z jakiegoż to powodu?

— Z powodu, że trzeba objeżdżać naokoło lasami, bo tamtędy jechać nie można..

— Dlaczego objeżdżać — nalegałem — czyżby tam taka zła była droga? Czy może boisz się zbójów? Nie bój się, mam rewolwer. Choć z czego by się w tej głuszy mogli żywić zbójce? Zapłacę, ile chcesz, ale musisz mnie zawieźć na czas.

Chłop zerknął na mnie z podejrzliwością.

— Pewnie, że droga zła... I może gorzej jak zbójce..

— Ja nie pojedę tam, panie — rzekł po chwili ze stanowczością. — Proszę poszukać sobie kogo innego.

I przy tych słowach uparcie się zaciął.

Żyd również nie mógł czy nie chciał mi wytłómaczyć przyczyny tego uporu...

— Ot, nie chce... — mówił wymijająco — nikt z nich tamtędy nie jeździ.. Może i lepiej objechać.. Tam bardzo dzikie strony...

— Nie, panie — odezwał się woźnica z wyraźnym zniecierpliwieniem — jeżeli pan chce koniecznie „tamtędy“ .. to może sobie z tym.. Kliem Białym jechać...



— Któż to jest ten Klim Biały?

— Taki, co wozi...

— A gdzie go szukać?

— A ot — jedzie... Temu to wszystko jedno, którądy... on i do piekła gotów... — dodał z pogardą i namiętnie splunął.

Zawołany przezemnie — zatrzymał się człowiek, przejeżdżający wolno tuż przed samą karczmą w jakiejś dziurawej, rozpadającej się bryce. Ciągnęły ją dwie długie, wysokie i niemal fantastycznej chudości szkapy. Popatrzył na mnie badawczo, świdrując swem bladem, wyciekłem i jakby białem zupełnie okiem.

BIBLIOTEKA  
UMCS  
BYDGOŚĆ  
E, choć pan ciężki, mogę z panem pojechać — odrzekł na moją propozycję. — Dojedzie porę...

— Ciężki — uśmiechnąłem się i mimowolnie rzuciłem okiem na jego nędzne konie. — Nie jestem wcale ciężki i ważę pewno mniej od ciebie.

— Tak — mruknął pod nosem. — Ja bo przywykłem lżejszych wozić... ale z panem pojedę.

Sam był chłop rosły, kościsty, o twarzy płaskiej i żółtej, pościągancj wzdłuż cienkimi, ostremi zmarszczkami, z jakimś mchem poszarpanym siwego zarostu na podbródku. Kiedy zdjął czapkę, na jego głowie, prawie zupełnie łysej, zdziwił mnie długi zwinięty, żółtawo-siwego koloru zwój włosów, w rodzaju chińskiego warkocza lub sznura, cały jakby sklejony i trzymający się jednym końcem tylnej części czaszki. Był to koltun, słynny w owym kraju.

Nie bez obawy wsiadłem w stuwieczną brykę, która na szczęście nie rozpadła się pod mym ciężarem.

— Więc jedźmy, Klimie Biały!

\* \* \*

W istocie, zaczynały się jeszcze dziksze pustkowia. Coraz posepniejsze bory ciemniały wnętrzem tak, iż zdawało się, jakgdyby ktoś przeciągał tam zupełnie czarną zasłonę, od której wysokie pnie najbliższych z kraju sosen odbijały jaśkrawo swą ceglasto-purpurową barwą. A dalsze migwały szarzejąc, ścieśniając się, biegły ku górze, gdzie nikły w gąszczu nieprzeniknionym koron.

Od tego migotania pni tworzył się w głębi boru jakiś ruch pasmistych światel i cieni, a mnie po dwóch nocach bezsennych, zdawało się wtedy, że widzę najwyraźniej cały tłum gigantycznych postaci, ścigających się ustawicznie i wciąż pędzących za nami.

Do tego jeszcze doznawałem wrażenia, że Klim nie jedzie naprzód, lecz wciąż się cofa, jakby umyślnie chcąc dać się prędzej tym olbrzymom dogonić...

— Jedźże ty naprzód — krzyknąłem mu wreszcie i śmiesznie mi się zrobiło, że tak ulegam złudzeniu...

— Abo co? — mruknął.

Zaczęły się uroczyiska. I znowu bagna i moczary. I znowu jakieś mieszane zarośla. Gdzieś niedługo smukły kształt brzozy, mdlejącej jakby

ze drzenia, głuszonej przez niskie, poplątane krzewy... A zewsząd coś wyglądało, coś wytrzeszczało się na mnie... Tam jakaś narośl na korze wyraźnie się przekrzywiła, poziewała twarz czyjaś maszyna, brodata, wlepiając we mnie swe duże, blyszczące jak sople żywicy, okrągłe, wypukłe ślepia. A z krzaków przyziemnych, z powyginanych dziwacznie, wydłużających się jakby gałęzi, wynurzały się jakieś szare i przezrocyste ramiona, splecione rzekłbyś z pajęczyn pomieszanych z suchymi liśćmi. Ręce te, ogromniejąc, wyciągały się ku nam, zbliżały i już były nademną...

I znowu czulem wyraźnie, że „tarantas“ pomyka tylem i ciągnie za sobą klacze...

Wstrząsnąłem się nagle i ocknąłem. Widocznie popadałem w drzemkę.

Jechaliśmy jednak dość szybko i dość lekko, mimo dróg bardzo niepewnych. Dróg? Raczej tylko ich śladów, zaledwie domyślników, zatarzonych i zamiecionych niby miotłami galopujących tędy ku uroczyskom czarownic. Bo taki dokoła wytworzył się nastrój dzikości i posepności, że myśl o wiedźmach nasuwała się mimowoli. Do tego pustka była poprostu dziewicza, nigdzie znaku obecności człowieka. Nie spotykaliśmy już literalnie nikogo, nawet owych ponurych glinoludów na drabiniastych wozach.

— Zrobiliśmy pewno już ze dwie dobre mile? — zapytałem Klima.

— Może i nic... — odpowiedział.

— Jakto? musieliśmy chyba już tyle ujechać

— Może i tak... — była obojętna odpowiedź.

— Wiesz co, Klimie — ciągnąłem niezrażony, chcąc z nudów podtrzymać rozmowę — ta twoja „landara“ jest w rzeczy samej lekka...

Z pewnością lekka, pomyślałem sobie, nie dla swej wszakże budowy, ale dla licznych wiosen, które szczęśliwie przeżyła. Czas, ulgę przynoszący, musiał jej ująć sporo ciężaru, strawiwszy części metalowe, których już było niewiele, i które nasuwały myśl, że to nie rdza zjada żelazo, lecz żelazo rdzę, a doprowadziwszy drzewo do zwietrzałości próchna, przeświecała na wskrós. Istotnie zastanawiałem się, jak można było takim zwaliskiem nawet ruszyć z miejsca.

— Jest taka lekka ta twoja karetka, że możesz nią i po obłokach jeździć...

— Dlaczegożby nie...

— O, co za mruk — pomyślałem sobie i zaniechałem rozmowy.

Po parogodzinnej takiej jeździe, napotkaliśmy wreszcie jakiś ślad ludzkiego siedliska.

W oddali ukazał się młyn, posłyszałem szum wody i charakterystyczny stuk obracanego koła. Lecz jakże to?... Spostrzegłem po chwili, że koło najwyraźniej stoi, i wcale nie dochodzi mnie żaden szum, ani stukanie...

To wcale nie młyn wodny — sprawdziłem narzeczcie — to tylko wiatrak. Jakże dziwne złudzenie!...

— Widzisz ten wiatrak? — zapytałem woźnicę, wskazując ręką.

— Tak, ale to wcale nie wiatrak — odparł, wzruszywszy ramionami.

Wpatrzyłem się znowu. Istotnie to nie był wiatrak. Była to jakaś stara kapliczka na niewysokim wzgórzu. A może to jest poprostu jakiś duży kamień?

— Co też tam stoi? — zapytałem znowu.

— To — nic nie stoi.

— Tam — patrz: czy to jest kamień?

— Tam — niebo — rzekł i nagle zaciął konie.

W rzeczy samej widziałem już tylko szeroką przestrzeń nieba rozwiniętego nad widnokregiem, który zdawał się niskim, jakby wbrew prawom perspektywy poziomy nie podnosiły się w górę, lecz szybko zsuwały się w otchłań. A w górze błękit ogromny, zimny i po nim szybko — uderzająco szybko na przeciw mnie mknące obłoki... Naraz wiatr ostro zagwizdał mi w uszach i kurz sypnął mi w oczy.

— Co tu się stało? — zawołałem, zrywając się nagle.

— Jedziemy — odrzekł spokojnie woźnica.

Konie się wlokły krok za krokiem przez pola, wóz trząsał się i z lekka kołysał, jak czółno na jeziorze.

— Co za dziwne majaczenie — szepnąłem. Wydało mi się, że spadł z przestworów!

Nareszcie ukazała się gromadka wiejskich chałup, jakaś zapadła i osędziła, zarośnięta kępami płaczących brzoź, pochylonych nad strzechami. Wałące się chaty miejscami przeświecały na wy-

lot. Okna bez szyb, rozwichrzone jakieś, pooblatywane, i rzekłbyś, porozdziobywane strzechy... Tu — ówdzie coś zatęczyło się jaskrawo — to kawałek szkła, jeszcze trzymającego się w ramach, lub zaczerniała dziura wśród pękniętych wiązań ściany.

Dokoła ani żywego ducha.

Całą tę wioskę i drzewa i pola, a nawet niebo z bliskiem już zachodu słońcem, pokrywał jakiś ton smętny, spłowiały, jakiś czad zmierzchu, jakaś patyna szarości i zaniedbania.

— Co to za wioska? — zapytałem Klima.

— A, tam — i patrzył w inną stronę.

— Ta... tutaj, przecie widzisz.

— A! ta wioska...

— Jak się ona nazywa?

— A, doprawdy nie wiem, jak się nazywa. Co mi do nazwy!

I zaczął się zastanawiać nad czemś... medytować.

— Tak... nie inaczej... Zdaje mi się, żeśmy nieco drogi zmylili — zwrócił się do mnie z zaniepokojeniem... Lecz, czy był na prawdę zaniepokojony, wątpię, miał coś podejrzanego w wyrazie swej słowiańsko-kałmuckiej fizyognomii.

Mnie zaś to zaniepokoiło naprawdę.

— Spytaj tych wieśniaków — rzekłem, wskazując chaty.

— Ha! ha! — odmruknął — kiedy oni nic nie powiedzą.

— Czemu nie powiedzą?

— Bo ich niema.

— Ale gdzie są oni?

— Kto to może wiedzieć... Oni będą w wiosce chyba w nocy... może poczekamy?

To mnie już oburzyło do głębi, kto wie, co to za człowiek i gdzie mnie wiezie przez te pustkowie. Wyraźnie drwi sobie ze mnie.

— Pocóż bierzesz się do wożenia, kiedy nie znasz drogi?

— Nie mogę jej znać, bo jej niema, nie przeprowadzona... A z kierunku nie grzech się czasem i zmylić...

— To szukaj!

— Pojedziemy dalej — ciągnął niewzruszony — pokrażymy i jakoś trafimy tam, gdzie trzeba... Troszeczkę cierpliwości... Pokrażymy...

A mnie już w głowie zaczynało krążyć od tych ciągłych niepokojów, i zakrążyło tak gwałtownie, aż zdało mi się, że ja sam i Klim i bryka cała, wraz z końmi, zakręciła się nagle w kółko, jak bąk na podłodze, ale to z taką niepojętą szybkością i siłą, iż pewny byłem, że już już wypadniemy z wymiarów. Krew uderzyła mi do głowy... Po chwili otworzyłem oczy.

Najeżdżaliśmy szparko na las, który, rzekłbyś, rozstępował się nagle przed Klimowem zakłębciem. Znów tłukąc się po wylażących na powierzchnię ziemi korzeniach starych sosen, narzekałem na losy, co mnie tutaj zawiodły, bojąc się głośno użalać na Klimę, na którego łaskę i nielaskę,

i gorzej jeszcze, bo na to, co mi się wprost wydawało jakimś jego „czarami“, musiałem bezwzględnie zdać się.

Wynurzył się jakiś stary budynek, rodzaj dawnego folwarku, czy czegoś podobnego; mijając go, Klim, jakby umyślnie, zaciął konie. A kiedy wymawiałem mu, że się nie zatrzymuje, odburknął, że tam nikt nie mieszka.

Widocznie skłamał... Bo oto poza drzewami mignęła postać ludzka. Młody ciemno ubrany mężczyzna, w nasuniętym na oczy filcowym kapeluszu, z nastawionym kołnierzem palta i rękami zapuszczonemi w kieszenie, zbliżał się ku nam szybko i patrząc na mnie, dawał znak, jakby chcąc o coś zapytać. Cała sylwetka jego, ruchy i wyraz twarzy ponury, utkwily mi żywo w pamięci.

— Ten człowiek powie nam, gdzie się znajdujemy — rzekłem, zmuszając Klima do zatrzymania się.

— E, ktoby się tam pytał tego włóczęgi...

Kazałem jednak stanąć i kiwnąłem na nieznanego — lecz już go nie było widać, gdzieś znikł za pniami drzew w niezrozumiały sposób, a był już tak blisko nas, że nie łatwo było niepostrzeżenie umknąć...

— Gdzież się podział ten człowiek — wykrzyknąłem zdziwiony.

— A nie wiem, gdzieś przepadł... Mówilem, że nie warto z nim gadać...

Niebawem las zrzednął i skończył się, odsłaniając poblakłą dolinkę, obramioną niedużemi



wzgórzami, mającemi wygląd kurhanów. Cienkie smugi ciągnących się w oddaleniu borów podkreślały zwiędłą monotonię tych linii sinawemi wstęgami, związując krańce poziomów z przestworem dogorywającego nieba. Rzeka jakby nieżywa, zastała i zardzewiała i na niej most zawalony, jakies zwaliska potrzaskanej, rozsypującej się, dawniej widocznie drogowej alei, wiodły ku gęściej zadrzewionemu miejscu, skąd kilka topól piramidalnych wystrzelało smukłemi kolumnami nad gąszczem pożółkłych zarośli i ogrodzenia płotów. Mógł tam ukrywać się dwór mieszkalny, lecz więcej przypominało to cmentarz. Cała ta zwłaszcza grupa drzew z topolami, widziana z daleka, nasuwała mimowolnie myśl o cyprysach — o tych cyprysach na wyspie smutku, wykolysanych przez smętną wyobraźnię artysty...

Tak błędząc okiem po zmierzchłym pejzażu, który, przy chowającym się słońcu i jego miedziano-rudych połyskach, miał coś z ciepłego tonu raczej przygasłych obrazów starego i drugorzędnego pędzla — spostrzegłem nieopodal mostu zgrabną sylwetkę dziewczyny.

W dużym, słomkowym kapeluszu z długimi, rozwiewającemi się wstęgami, w sukience nieco zadawnionej mody, stała zwrócona do nas plecami; gestykulowała dość mocno, jakby rozmawiając z kimś znajdującym się o kilka kroków dalej. Nie mogłem dojść, kto był tą drugą osobą, bo nikogo w pobliżu niej nie widziałem. Kazaw-

szy Klimowi stanąć, wyskoczyłem z wózka i po-  
dażyłem ku nieznajomej.

Pewne uczucie ulgi, nadzieja rychłego wyrwa-  
nia się z obłądnych kołowrotów, w które wciągnął  
mnie kaprys albo zła wola spanoszonego woźni-  
cy, wprawiła mnie w stan radości na widok tej  
żywej istoty.

Gdy byłem już blisko, odwróciła się nagle i cho-  
ciaż słońce już zaszło i zmrok zaczynał się duży,  
twarz jej w ogólnym swym wyglądzie uderzyła  
mnie czemś, czego określić dobrze nie potrafię.  
Coś mi zagrało w pamięci — niewyraźnego i nie-  
pewnego — jak gdybym już ją znał skądś i  
gdzieś już, kiedyś, może we śnie, widział....  
I cała ta chwila spotkania wydała mi się jak  
powtórzenie czegoś, co już odbyło się dawno...  
może w przedziemskim życiu, na innej jakiejś  
gwieździe. Może był to ów znany i nie rzadki  
wypadek zdwojenia pamięci?

W każdym razie dziewczyna wydała mi się  
nie obcą już w samej chwili pierwszego jej  
ujrzenia.

— Z pewnością zna pani dobrze te strony —  
przemówiłem z ukłonem. — Czy nie mogłaby mnie  
pani objaśnić, jak stąd jedzie się do Radyszczu?  
Woźnica mój zablądził i nie wiemy nawet, któ-  
rędy się udać?

— Znam — odpowiedziała. — Tu się urodziłam,  
lecz o Radyszczu nie słyszałam nigdy. Czy to  
jest miasteczko? Zdaje mi się, że nie ma miasta  
tej nazwy w całym naszym powiecie.

— Doprawdy? To dziwne! Rano wyjechałem ze stacyi Z. i pół drogi odbyłem pomyślnie, a tylko przy ostatnich kilku milach zabłądziliśmy. Radyszcze musi z pewnością być gdzieś w pobliżu... Chyba, że teraz nazywa się inaczej?

— Tu w pobliżu niema żadnego miasteczka, same bagna i lasy... Ach... tak... prawda... — zamysliła się, jakby usiłując coś sobie przypomnieć, a oczy jej skupiły się wewnątrz, wyrazem dziwnym, niezwykłym, choć też, jak gdyby mi już znanym, i posmętniały, jeśli tak można się wyrazić — głuchnąc na rzeczy zewnętrznego świata.

— Przypominam sobie — ciągnęła wolno — przystanek Z... Radyszcze leży o czternaście mil od tej stacyi... Lecz stąd do Radyszcza jest trzy razy dalej...

— Więc — zapytałem, nie rozumiejąc nic zgoła — jakże się to stać mogło, że w tak krótkim czasie tyle mil zrobiłem!? To coś niepojętego... Mój człowiek wydaje mi się mocno podejrzanym...

— Nie rozumiem zupełnie — spojrzała na mnie dużemi, zdziwionemi oczyma.

— Może mi pani wskaże przynajmniej jakiś zajazd najbliższy, gdziebym mógł przenocować i pewniejszą wyszukać furmankę?

— Nie wiem, jak na to panu poradzić — odparła. — Okolica nasza jest zupełnie głucha i rzadko kto nią przejeżdża. Zdaje mi się, że nieprędkoby pan tu na taki zajazd natrafił.

Musiałem wrócić do Klima. Nie szczędząc gorzkich wymówek, kazałem się wieźć z powrotem, ku znanej żydowskiej gospodzie.

— Zdolasz-że trafić przynajmniej tam, skąd wyjechaliśmy?

— Naturalnie. Odbytą drogą i same szkapy wrócić potrafią — mruknął z niezadowoleniem.

Wzrok mój padł znowu na te bolesne rumaki. Wyglądały, jak cienie końskich kościotrupów, suche, ze sterczącymi żebrami i całkiem prawie bez brzuchów; a tylko pełne, okrągłe, uabrzmiące krwią, napewno wskutek dokonanego wysiłku, ich oczy błyszczały jakimś namiętным i złowrogim temperamentem.

— Że pan też, zamiast tak tłuc się po ciemku, nie wolał poprosić o nocleg we dworze... To właśnie była dziedziczka z tego tam — rzekł, wskazując ku topolom. — Oto chce coś powiedzieć...

— Proszę pana — wołała, biegnąc do nas dziewczyna — nie przyszło to mi odrazu do głowy. Ale możeby panu było na rękę zatrzymać się na noc u nas, w oficynie? Jeżeli pan sobie życzy, to proszę bardzo...

Ucieszony jej propozycją i dziękując:

— Istotnie — rzekłem — znalazłem się w tak nieprzyjemnem położeniu, że bardzoby mi było na rękę... I jeżeli nie sprawi to państwu wielkiego kłopotu...

— Żadnego — odpowiedziała prosto.

Poszedłem z nią. Klim wolno włókł się za nami, jak jakieś długie, skomplikowane z kilku mar naraz, sunące przez ciemności widmo.

— Widzi pan — już całkiem ciepło odezwała się do mnie, z odcieniem jakiejś prawie dziecięcej naiwności w głosie — tu taka głusza, że lepiej jest w dzień jeździć. Zostanie pan u nas i dłużej... — dodała cicho bardzo, jakby myśląc ustami albo pół szeptem rozmawiając sama z sobą, przyczem oczy jej znowu przybrały ów, już znany mi dziwny i trudny do określenia wyraz. Dostrzegłem go mimo mroku..

I potem, spojrzawszy jasno i wesoło: — My radzi będziemy panu — rzekła. — Tutaj tak rzadko ludzi się widuje..

— Ale może się zapoznamy. Na imię mi Leona. Pospieszyłem wymienić swoje nazwisko.

— A... to pan się tak nazywa... to dziwne..

— Dlaczego dziwne?

— Widzi pan — mówiła z pewnem zakłopotaniem — to ja tak bezmyślnie... nie wiem sama z jakiego powodu... powiedziałam w domu, że dziś do nas przyjedzie człowiek z takim nazwiskiem. Zresztą — uśmiechnęła się — to zawsze się sprawdza, co ja tak sobie, niemyślący, powiem.

— Otóż i jesteśmy — rzekła po chwili i odwróciła się, jakby znów komuś niewidzialnemu posyłając znaki.

Minęliśmy właśnie płoty i zabudowania, i przeszedszy dziedziniec, znalazłem się przed szero-

kim a niskim gankiem z kolumnami. Było już zupełnie ciemno na dworze.

— Proszę zajechać tu, na prawo — zawołała do Klimego. — Zaraz służący zabierze walizę.

— Niech pan — mówiła do mnie z poufalością — nie dziwi się naszym trochę dzikim zwyczajom i urządzeniom. Gdzież jest ten niepoprawny Sebastyan?... Sebastyanie! — wołała głośno, ale nie było odpowiedzi. — Na przykład ten nasz służący. Nie głuchy, a głuchy. Niech pan płaszcz tu powiesi — wskazała na wspaniały okaz rogów losiowych, któremu podobnych kilka par zdobiło ściany sieni, i zwinnie wskoczywszy na stół, zapalała niedużą ścienną lampkę.

— Teraz proszę tu — rzekła, wprowadzając mnie do przestronnej izby, oświetlonej zaledwie migotliwym odblaskiem żarzących się na kominku główni i wskutek tej półciemności wydającej się prawie ogromną.

— Niech pan usiądzie bliżej ognia.

Dorzuciła jałowca, który zasyczał przez chwilę i buchnął wesolym płomieniem.

— Ale pan, widzę, jest bardzo znużony — zauważyła, popatrzawszy na mnie uważnie. — Sebastyanie! Gdzież się zapodział ten stary? Proszę tu chwilę odpocząć — rzekła do mnie — a zaraz będzie kolacja.

I wybiegła z pokoju.

Była w niej jakaś dziwna, niezamącona prostota, właściwa czasem chowanym w głuchej samotności i na zupełnej swobodzie dzieciom, które,

dzięki miękkości matek, nie były prowadzone tak, jak zwyczaj każe prowadzić je pod względem zewnętrznych form wychowania. Z takich dzieci wyrastają niekiedy te jasne i otwarte natury, co wdziękiem czystej szczerości, niedbałej zawsze o pozór, razić mogą chyba tylko płaskich ludzi. Coś podobnego widocznie było i z tą dziewczyną. Tem tłómaczyłem sobie jej trochę może zbyt ufne i śmiałe zachowanie się ze mną.

Być może zresztą, myślałem, i obyczaje mego kraju, którego przecież prawie nie znałem, są pod tym względem prostsze i inne od tych, do których przywykłem zagranicą.

Lecz wyznać muszę, że bardziej mnie jeszcze uderzała niezwykła uroda Leony. Była prawdziwie ładną? Nie! Owszem, poza dużemi i dziwnie jasnymi oczyma, pięknemi niezaprzeczenie, dostrzegłem w jej rysach dużo nieforemnego. Lecz w tem właśnie tkwiło coś „człowieczego“, co nas zajmuje, porusza i rozbija, czego mi zwykle brakło w najpoprawniejszych profilach. Twarz piękna może być boską, lecz jakże rzadko człowieczą!

Gdy więc pod urokiem tej zajmującej dziewczyny rozmyślałem tak, grzejąc się przy komin-ku, zauważyłem, że na stole, w głębi pokoju, tymczasem znalazła się lampa, z dużym zielonym daszkiem.. Lecz kto ją zapalił?.. Czyż byłem tak zajęty memi rozmyślaniami, że nie spostrzegłem, jak wchodził służący?

Lampa wraz z ogniem kominka słabo oświetlały pokój obszerny o ścianach bielonych, belko-

wanym suficie, dosyć wygodnie zapelniony meblami. Na ścianach kilka sztychów i kilka starych, większych i mniejszych olejnych portretów: widocznie antenaci, skolekcyonowani niedbale, jak to zazwyczaj się widuje w pomniejszych, nieprezencyonalnych dworach szlacheckich.

Za drzwiami sąsiedniego pokoju, który był nastrożnym, wydało mi się, że słyszę starczy kaszel i szelest przewracanej gazety.

— Tam — rzekła, wbiegając szybko, Leona — jest pokój mego dziadka. A tam — pokazała drugie drzwi — idzie się korytarzem do babuni. Jakże się panu u nas podoba? Rozgrzał się pan choć trochę i odpoczął? Prawda, że tu jest zacisznie?... Otóż w tej samotni żyjemy sobie we troje i światła bożego nie widzimy.

— Ale pan za złe nie weźmie, jeżeli moi dziadkowie dzisiaj się nie pokażą. Tacy są starszankowie, i zmęczeni bardzo. A przytem, powiem panu, trochę odwykli od ludzi... Nas tu nigdy prawie nie odwiedzają znajomi.

O, jakże dziwnie uroczą wydała mi się ona w tej chwili! I skąd już mogła być mi znaną tą twarzą o mgławym nieokreślonym wyrazie i wzroku podobnym do księżycowego światła. Przypominała świeżość wiosennego nieba, z księżycem, przezierającym przez obłoki.

Przyglądałem się rękom jej szczupłym, nerwowym, gdy rozlewała herbatę, i nagle uderzyło mnie szczególne spostrzeżenie. Samowar, szumiąc i parą buchając stał na niskiej, drewnianej pod-



stawie obok dużego stołu, przy którym usiedliśmy właśnie; na stole taca i cały serwis do herbaty. — Lecz jakże stać się znów mogło — pomyślałem zdumiony — że nie widziałem kto to wszystko wnosił?...

Po dłuższej pogawędce, zaprowadziła mnie sama do oficyny i wskazała pokój urządzone wygodnie.

— Tam wszystko kazałam przygotować dla pana — rzekła. — Dobrze napalono w piecu? Ale pan jutro nie wyjedzie, wszak prawda — dodała z naciskiem, życząc mi dobrej nocy.

Było mi prawdziwie dobrze. Wesoly — więcej niż wesoly, bo w stanie prawie uszczęśliwienia, z którym mógłbym porównać chyba radość doznaną przy pierwszej wiadomości o spadku, a którego przyczyny z pewnością bym nie mógł sobie wytłómaczyć — kładłem się do snu. Sięgnąłem ręką do małej utwierdzonej przy łóżku biblioteki, po jakąś książkę, i odłożyłem ją prędko, bo myśli me biegly od niej ku osobliwej dziewczynie. Rozpamiętując marząco przebyte z nią chwile, powtarzałem wciąż w myśli ostatnie jej słowa, wymówione szczególnym tonem: „pan jutro nie wyjedzie, wszak prawda?“ — i gotów już jutro nie wyjeżdżać, zgasilem świecę i zasnąłem snem prawdziwie pokrzepiającym.

---

ROZDZIAŁ III.  
FILOFLOSY.

---

Nazajutrz rano zmieniłem to moje, nie mające sensu żadnego postanowienie i szedłem do Leony, by się pożegnać i podziękować jej za gościnę. Spotkałem ją na dziedzińcu.

— Jakto, pan chce się zegnać — zawołała zdziwiona. — Przecież powiedziałam, że pan dziś nie wyjedzie. A pan wie, że wszystko, co powiem, zawsze musi się sprawdzić. Niechże pan zostanie u nas jeszcze. Pan nie ma chyba tak znów pilnego bardzo interesu, prawda?

Nie miałem istotnie po co zbyt spieszyć do M. A trudno było się oprzeć chęci pozostania, tem bardziej, że chociaż może nie zdawałem jeszcze sobie z tego sprawy dokładnie, dziewczyna już mi się podobała bardzo.

I cały dzień spędziłem w jej towarzystwie, chłonąc czar magnetyczny, co wiał z jej całej osoby.

Wpatrzony w jasność jej oczu spokojnych, które nie unikały mych spojrzeń, z rozkoszą wsłuchiwałem się w brzmienie jej świeżego głosu. Ten

głos był jakimś echem zabląkanem, późnem, pieśni wielkiej i pełnej, ale zapomnianej, którą napewno musiałem gdzieś słyszeć... gdzieś, kiedyś... może i na ziemi...

W rozmowie z nią chwilami uderzało mnie coś nieoczekiwanego, co w zwrotach jej prostych i prawie dziecinnych, wydawało się nieraz prawdziwie głębokiem i subtelnem.

Poruszaliśmy sprawę zupełnie osobiste, z całą szczerością i zaufaniem zażyłych przyjaciół.

Lecz ta osobliwa dziewczyna wiejska i w rzeczach, tyjących się mego zawodu, literatury i sztuki, wykazywała więcej rozumienia od wielu mych bardzo ukształconych kolegów. W lot zgadywała wszystko, co było trudne do określenia, formułowała szybko i po swojemu, przekładając na język tak prosty i jasny, że pewnie o nim nie śniło się filozofom. Umiała czytać w mych myślach. Jak łatwo mi było z nią myśleć — tak we dwoje razem! A jaka młodość czysta i szczęśliwy humor! Wesoly śmiech jej dźwięczał nieustannie, wrażliwą odpowiedzią na każdą moją najlżejszą chęć pobudzenia jej do uśmiechu.

— Ależ pani jest cała w kolorowych pajęczynkach — zawołałem z humorem, widząc na jej ciemnej sukni strzępki kolorowego jedwabiu. Co znaczy to „babie latko“ rajskie z tęczowych i złotych włókienek?

— A, to? — odezwała się poważniejąc. — Są to jedwabne nitki, których pełno jest wszędzie u nas, latają po wszystkich pokojach. I pana już

się czepiły, niech no pan tylko zobaczy. Cały w tęczach pan stąd odjedzie!... Babcia moja haftuje ciągle jakąś kapę dla naszego proboszcza, i ja jej czasem pomagam.. Ale już dość się napróżnowalam, bawiąc wciąż gościa... Jutro zabieram się do pracy.

Tak mi było z nią dobrze, że bałam się nawet wspomnieć o wyjeździe.

— Pan nie wyjedzie i jutro — zwróciła się do mnie z akcentem pytania, w którym znowu wyraźnie dźwięczało potwierdzenie.

— Nie wyjadę — rzekłem — bo trzeba, by zawsze sprawdziło się to, co pani powie.

Wieczorem, znalazłszy się u siebie w oficynie, zdziwiłem się spostrzeżeniem, że chociaż przez cały dzień Leona oprowadzała mnie po gospodarstwie i jakieś nadzwyczajne pokazywała widoki okolic, jednak ja nie pamiętałem nic z tego wszystkiego, co mi pokazała, nietylko nie z całego obejścia, lecz nawet nie miałem dokładnego pojęcia o wyglądzie samego dworu. Jedynie szeroki i niski ganek z kolumnami utkwiał w mej wyobraźni niejasnym z mroku wynurzającym się kształtem. Byłem widocznie tak pod urokiem mej towarzyszki, że mi zbrakło uwagi na wszystko, co nas otaczało.

Lecz bardzo dziwną wydało mi się rzeczą to, że oprócz Leony nie widziałem lub nie zauważyłem żywego ducha w całym dworze. I ten Sebastian, pomyślałem sobie, przecież on mnie obsługuje i sprawnie: wszystko na czas zrobione,

wszystko przygotowane, jakby przez kogoś, co zna mnie dobrze i może uprzedzać moje zażądania... Co za idealny służący, tak go się całkiem nie widzi... — szepnąłem, gasząc świecę i zamierzając już na dobre usnąć. W tejże chwili posłyszałem, że drzwi się otwierają i ktoś po cichu wchodzi do pokoju.

— Kto tam? — zapytałem nie bez pewnego przestרחu.

— To ja, Sebastyan — był głos starego człowieka — zapomniałem panu przynieść na jutro wody. Czy pan czego nie żąda?

Tak mnie intrygowała osoba tego idealnego sługi, że szybko sięgnąwszy po zapalki, zapaliłem świecę.

Ale już go nie było. Stał się zupełnym ideałem

Przez całą noc miałem sny, przepelnione Leoną, a wszystkie na jawie z nią przebyte chwile służyły jakby za kanwę, na której sennie rojenia dzierzgały przedziwne waryacje na temat cichego dworku, z którego okien śledziły pewno z ukrycia pieczołowite spojrzenia starsuszków, nieznanych mi jeszcze, lecz we śnie już jakby dawno znanych i kochanych.

— Co się panu śniło dzisiaj — zagadnęła mnie z całą swobodą nazajutrz Leona.

— Przecież wie pani...

Spojrzała na mnie, a twarz jej przybrała znowu ten wyraz dziwny, jej tylko właściwy, zwrócony wewnątrz, jakby ku światom duszy: ✓

— Wiem — rzekła z lekka zarumieniona. O, co się snów tyczy, to znam się na nich wybornie, umiem czytać pomiędzy wierszami... Bo, widzi pan, wrażenia jawy — to druk, wyraźny w książce naszej duszy, a senne wrażenia — te chwiejne i rozwiewne — są tem czemś nieuchwytnem, co trzeba umieć wyłowić z sensu wyraźnie i porządnie zszeregowanych liter. Ale może pan nie lubi moich paradoksów... To tak łatwo przewidzieć sen, u kogoś, gdy znamy jego całodzienne przejścia... szczególnie u pewnych osób... — Tu się zacięła i dodała żwawo: Wie pan, ja umiem nawet z ręki wróżyć.

— Pani zna chiromancyę?

— O nie, wcale jej nie znam! Ja tak odrazu mówię, wcale nie myślący. Chiromancya, to cała nauka i chcąc się nią posługiwać, trzeba kombinować, przypominać... A takie trudne rzeczy można tylko nie myślący zgadnąć.

— I to się sprawdza, co pani wywróży?

— Co do joty.

— To może pani powróży mnie?

— Panu? — zalotnie pokręciła głową

— Nigdy — rzekła — przenigdy! — I odwróciła się nagle, a ja tymczasem spostrzegłem, że V twarz jej była jak róża.

„Czyżby naprawdę ona“... — pomyślałem wzruszony. Co do mnie — to ja naprawdę kochałem już tę dziewczynę.

Tegoż dnia wieczorem wszedł do mnie stary kamerdyner. Miał twarz ogoloną czysto, i długie,

białe faworyty (Nareszcie raczył się przedstawić!). Był to ów właśnie tajemniczy Sebastyan.

— Panienska prosi na kolacyę.

Przechodząc przez dziedziniec, zauważyłem, mimo ciemności, jakiegoś mężczyznę, stojącego przed domem w tej stronie jego, gdzie były okna pokoju Leony. Na głowie miał filcowy kapelusz, był w ciemnym palcie jesiennym z nastawionym kołnierzem i ręce trzymał głęboko zasunięte w kieszeniach. Wyglądał, jakby chciał z czemś zwrócić się do mnie. Lecz może to było złudzeniem. Jednakże ta postać ponurego wyglądu przypominała mi kogoś... kogo? A! prawda, tego nieznanego, który tak nagle skrył się, ledwie się ukazawszy, w chwili, gdy wyjeżdżałem z lasu. I stanął mi w oczach fantastyczny „tarantas“ Klima Białego i jego widmowe szkapy.

Wszedłem do znajomego, tym razem jasno oświetlonego salonu. Otóż i „dziadkowie“ raczyli się zjawić. Widocznie Leona zdołała już wzbudzić w nich zaufanie do obcego. Wchodząc, widziałem, jak klęczała przed babką, a ta żartobliwie groziła jej palcem.

Wysoka lampa o kryształowej podstawie, na dużym stole rzesistem światłem oblewała twarze dwojga niezwykłych i na pierwszy rzut oka matuzalemowo wyglądających starszków. Chociaż przy bliższem wejrzeniu nie dałbym im więcej jak po lat ośmdziesiąt.

Dziadek Leony prawie zupełnie łysy, bo tylko z resztkami srebrnych kosmyków przy skroniach,

o twarzy ogolonej starannie i bladej, żółtawo-zielonawej cerze, niepospolitą swą powierzchownością narazie ściągnął na siebie całą moją uwagę. Ze wszystkich rysów jego, przez wiek sfałdowanych, przebijał jakiś szczególny i zagadkowy wyraz. Była to jakby ironia chłodna i tajemnicza, osiadła głównie w bladych i ostro ściętych, zapewne z powodu braku zębów, ustach. Wyraz ten klócił się jednak z jakąś dobrocią i naiwnością, również w nich zawartą; a stawał się całkiem niezrozumiałym z powodu dziwnych oczu. Nie tyle pewno oczu, bo tych prawie nie było widać, co osobliwych jego okularów

Ogromne, kryształowe, prawie bez oprawy szkła kwadratowej formy, jakiegoś bardzo skomplikowanego szlifu, tak grube, że promień kominka wydobywał z nich migotliwe kolory tęczy. Lecz najdziwniejszem w nich było to, że poza temi pryzmatycznymi szybami, jeśli nawet sam staruszek widział dobrze, to one w zamian mimo całej swej przejrzystości ukrywały zupełnie wzrok jego, którego się szukało, chcąc rozstrzygnąć niepokojącą zagadkę wyrazu tej fizyognomii. Była w tych szybach jakby mleczna matowość zamazniętego okna, migająca tysiącami barwnych iskiełek. Później robiły one na mnie chwilami wrażenie, że nie reflektują na ogień kominka i lampy, a grają raczej od światła wstępu lub myśli staruszka, gdyż przy każdym ożywieniu się jego w rozmowie, nadszpedziewanie żywym wypełniały się błyskiem.



Twarz dziadka Leony bynajmniej nie była piękną, lecz pociągała swą dyskretną jakąś tajemniczością. Zdawała się pełną życia przy wyjątkowej nieruchomości rysów. Czasem tryskała promienną jakąś radością, której nigdy nie mogłem dostrzedz w samym wyrazie, zastygłym jakby raz na zawsze w smętek bladej ironii. I w czem znów, niezależnie od tego wszystkiego, leżało owo piętno powagi surowej, niezaprzeczonej, takiej, że przed nią trudno było się nie ukorzyć.

Ubranie staruszka stanowił strój bardzo dziwny, jakiś kawałek materii, tkaney w fantastyczne esy i floresy, w którą się przyoblókł, jak w togę lub włosiennicę, a która mogła być wzięta tak dobrze za bizantyjską symarę, jak i za wygodny, fantazyjny szlafrok.

Spostrzegłszy mnie, podniósł się zwawo, lekki nad wiek w ruchach, i ledwiem zdołał od drzwi stąpić krokiem, już znalazł się przy mnie.

— Bardzo nam miło jest pana powitać, bardzo pan grzeczny, że raczył zatrzymać się dłużej i ze staruszkami się zapoznać.

Nie mogła mnie nie zdziwić ta trochę raptowna uprzejmość, która mnie wszakże ucieszyła nie mało.

— Pan mi wybacz ten habit — rzekł nagle — ale to mój stały mundur. Zresztą to, proszę pana, jest „termolama“ — dodał tonem żartobliwej gościnności, lecz takim, że zdało mi się, iż w jego pojęciu był usprawiedliwieniem dziwaczności stroju.

Pani domu, staruszka, całkiem siwowłosa, wczarnym czepeczku i czarnych koło szyi koronkach, siedziała, raczej pół leżała wglębiona w starym, skórzanym fotelu, mając nogi wyciągnięte przed siebie, oparte o niski taburet. W całej postaci przebijało wielkie znużenie i wyczerpanie.

Kiedym ją witał, nie od razu udało się staruszcze uwolnić swą rękę z prawdziwie lgnących ku niej pomieszanych jedwabi, w które, coś dużego haftując, zaplątała się była całkiem.

— A my już znamy pana, już wiemy, jak pan wygląda — rzekła, podając mi wreszcie rękę swą do ucałowania. — Niechże pan siada.. A ty, Leoniu, dbaj o to, żeby gościa zabawić.

Nie dał mi jednak gospodarz zamienić ze staruszką nawet zwykłego słowa grzeczności, i odciągawszy na bok, natychmiast zaczął coś opowiadać, coś w czem trudno bardzo było się zorientować. Była to, o ile pamiętam, historyczna anegdota z niezmiernie dawnych czasów, którą widocznie uważał za aktualną nowość. Działo się coś za Ramzesa Wielkiego, a sól polegała na zręcznem znalezieniu się jakiejś antycznej królowej w rozmowie z wielkim Syzostrysem. Rozrywany na wszystkie strony, nie byłem w stanie zastanowić się nad tym faktem dziejowym, bo jednocześnie o coś zagadywała mnie pani domu i Leona, a słów tej ostatniej byłem najbardziej ciekawy.

Wreszcie rozsiedliśmy się spokojnie i Leona, widocznie zaczynając gościa „bawić“, szepnęła do mnie z cicha:

— Jesteś pan już w wielkich łaskach u dziadunia, prędko oswoił się z panem .. A panu jakże się dziadek podoba?

— Zachwycony jestem, ale jakie ma dziwne okulary? Pierwszy raz w życiu coś podobnego oglądam! Czy nie dlatego są takie duże i lustrzane, żeby widzieć zarazem, co się za plecami dzieje?

— O tak! Dziadek wie zawsze, nie patrząc, co się dokoła niego robi. Lecz powiada, że, dzięki okularom tej konstrukcyi, widzi najlepiej to, co się w nim samym odbywa.

— Przyjeżdża pan tu ze świata, niezaprzeczonego świata — z stolicy. Proszę nam coś opowiedzieć, co się tam dzieje u was na świecie — odezwał się staruszek, który był zaczął przeglądać jakąś ilustracyę. — O czem-że się najwięcej tam dziś prawi i rozpowiada?

Zacząłem mówić o najważniejszych wypadkach z życia i z polityki. O świeżym zatargu w kolo- niach między mocarstwami i możliwości z tego powodu wojny.

— Opowiem państwu o przygodach profesora Menszla — rzekłem. — I, proszę pana — tu nauczyciel prywatny zwrócił się do p. Karskiego — skąd mi przyszedł wówczas do głowy profesor Menszel, o którym nigdy nic nie słyszałem, i jego przygody w miasteczku... — doprawdy nie potrafię tego nigdy wytłómaczyć! Widocznie tak jak i panu. Wymyśliłem po prostu, „ot tak nie myślący kompletnie“, jak to robiła Leona, całą tę aneg-

dotę, i jakby to nie ja, lecz ktoś inny we mnie siedzący ją mówił, opowiedziałem to wszystko, co dziś słyszałem od pana i co sam dziś powtórzyłem ze szczegółami. Dodać muszę, że nigdy nie miałem ani zamiłowania, ani zdolności do tego rodzaju żartów. Robiłem to mimowolnie, machinalnie jakoś i, dopiero skończywszy, spostrzegłem się, że tonem prawdy opowiadałem zmyślenie. Bajka moja jednak wywołała powszechną wesołość.

Ale pan sobie wyobrazi — ciągle mówił do Karskiego — jak się okrutnie musiałem zmięszać, kiedy staruszek, wysłuchawszy mnie z całą uwagą: O, wiem — rzekł, kiwnąwszy głową — czytałem o tem w dzienniku: *Syzyfy!*... Tylko pan nie wie, że miasteczko to już dziś jest całe owładnięte przez duchy.

Wobec nuty ironii, właściwej jego głosowi, byłem pewny, że szydzi, przeniknąwszy moje rażące kłamstwo.

Umilkłem zawstydzony.

Leona wyraziła współczucie dla uczonego, który tyle poniósł trudu na próżno.

— Pan wierzy w spirytyzm — zapytał mnie nagle staruszek z pewnem w głosie szyderstwem, które nie wiem, kogo miało dotknąć: czy tych, co wierzą, czyli tych, co nie wierzą.

Trudno mi było odpowiedzieć.

— Pan wierzy w duchy?

— Tak... może... doprawdy, nie mam zdecydowanej opinii — odrzekłem z otwartością. Nigdy

sam nie widziałem tych objawów . Chociaż przemawiają za nimi świadectwa wiarygodnych osób.

Dziadek milczał, uśmiechał się tylko swym zagadkowym, ironicznym wyrazem. I wszyscy milczeli.

Po chwili znów ożywiła się rozmowa. Jak wprzód, uderzyła mnie niezwykła lekkość ruchów i żwawość tego (niby pozbawionego ważkości) oryginalnego starca — tak teraz zadziwił mnie jego spryt i lotność umysłu, więcej niż młodzięcza, zręczność w ironii i szybkość w żartobliwym podchwytywaniu zwrotów, przeskakiwaniu z przedmiotu na przedmiot, graniu na odcieniach i sypaniu, jak z garści, kalemburami.

„Prawdziwie, to jakaś „termołamiczność“ myśli siedzi w tym człowieku“ — powiedzia em sobie, rzuciwszy wesolo okiem na jego kolorowy szlafrok.

Leona nie odzywała się prawie, ślęcząc nad haftami, chwilami tylko przerywała robotę, rzucając na mnie pogodne spojrzenia, a spotkawszy się z moim wzrokiem, pochylała ciemnowłosą główkę ku haftom, niżej, jakgdyby chcąc w nich schować swe myśli.

Staruszka poważnie milczała, wtrącając od czasu do czasu jakieś dodatkowe, wyjaśniające słówko do potocznych opowiadań męża, co wyraźnie niecierpliwiło tego ostatniego.

— Ty zawsze mi przerywasz wyrzucal — niezadowolony.

Było mi dziwnie spokojnie — jakgdyby w śnie jakimś na jawie odbywało się to wszystko —

w potulnym domku przy ukochanej dziewczynie i jej nieprawdopodobnych, jak z bajki wykrojonych, dziadkach.

Służący przyniósł pocztę. Leona z babką pochyliły się nad czytaniem jakiegoś listu od krewnych...

Staruszek już miał przy sobie gazetę (lub coś podobnego do gazety), wyjął ją z kieszeni, rozwinął i zatopił się w pilnem czytaniu.

— Przepraszam pana — rzekł, podając mi jakąś ilustrację — lecz muszę... przejrzeć nekrologi...

Sledził zatopiony w czytaniu, poruszając szybko ustami, jak gdyby coś szeptał do siebie. Chwilami zamyślał się, podkreślał coś w tekście, lub dopisywał ołówkiem, marszcząc brwi z wytężenia uwagi.

— A! zawołał uradowany, jest i dla pana wiadomość — o pańskim, wielkim, serdecznym przyjacielu!

Spostrzegłem, że kobiety uśmiechnęły się znacząco do siebie i rzuciły niespokojnie wzrokiem na mnie.

— O jakim moim przyjacielu?

— I pan się niedomyśla, ciągnął, jaki go zaszczyt spotkał! — To musi być istotnie wielki człowiek!...

I zaczął czytać szybkim, płaczącym się trochę głosem, depezę:

„Cesarz nadał znakomitemu uczonemu, profesorowi Fryderykowi Menszłowi wysoki order

„*pour le mérite*“ za znakomite dzieło jego o „Duchach“.

Tu nauczyciel prywatny, przerywając swe opowiadanie, znowu przemówił do pana Karskiego:

— Kiedy ja dzisiaj powiedziałem panu, że m słyszał już dawno, skomponowaną świeżo przez niegoż i pierwszy raz tu opowiadaną dykteryjkę — pan zrobił wielkie oczy — posądziwszy, że z niego żartuję, albo że zwaryowałem, nieprawdaż?

Karski utkwiał w nim wzrok prawdziwie podniecony.

— Lecz coby pan — ciągnął opowiadacz — pomyślał sobie, gdyby dziś naraz ktoś w dzienniku znalazł artykuł o bohaterze pańskiej wyobraźni, jako o istniejącym już zdawna człowieku?! Jakby się pan poczuł wobec takiej niespodzianki?

A mnie to właśnie spotkało. Rozpisywano się o Menszlu i miasteczku \*\*\*. Anegdota już gdzieś istniała i działa się, zanim mi przyszło na myśl ją skomponować. Doznałem jakiegoś głupiego przerażenia... Co to być mogło?!..

I nie przerywając już więcej, prowadził nauczyciel prywatny do końca swą powieść.

— To za tę właśnie rozprawę — mówił starsuszek — o której wyrażał się pan z takim lekceważeniem. Jakże pan mógł tak ironizować! Z pana anarchista zupełny...

— A oto zjawia się cały szereg niezmiernie pochwalnych odezw o tem dziele — dodał po dłuższym namyśle. Widzi pan: wszyscy uczeni

tak uroczyście je chwala! Musi być jakiś porządek nawet w opiniach, nieprawdaż?...

Stanowczo nie wiedziałem, czy mówi to żartem, czy seryo.

— O, dużo dziś o pańskim przyjacielu, oto znowu wzmianka: *Mikromakroskop*, nadzwyczajny wynalazek wielkiego uczonego — ni mniej ni więcej, tylko aparat służący do badania ducha... „Nie wiemy jeszcze, jak ten wynalazek p. Menszla wygląda, bo dotychczas nie odsłonięto sekretu. Mniemamy wszakże, że dzięki temu odkryciu, świat dowie się nareszcie coś o „spirytyzmie!“

— Oto przynajmniej dobrze uzasadniona nadzieja! — zawołał prawie z egzaltacją.

Nie wiedziałem znowu, czy chwali, czy żartuje, lecz ton jego mówienia prawie zawsze był tak dziwnym.

— Ale też zaczynają u was już się rozpisywać o duchach. Świat jakby na dobre zaczął o nich myśleć... Czy to prawda? I jak pan wobec takiej opinii powszechnej może w duchy nie wierzyć? Wie pan, co to są duchy?

— Widzi pan! widzi pan! — przerwała starszka — jak te niteczki lgną do mych palców i do ubrania... To takie natrętne, nieodczepne... Czysta z tem bieda!

A jak nie chcą się chować do tego garnuszka! Widzi pan!

Było to nieduże kamienne naczynie, w rodzaju garnków, odnajdywanych w kurhanach; je-



dwabie istotnie nie chciały w nim się pomieścić.

I wyciągnawszy głowę, staruszka uniosła się na siedzeniu, by sięgnąć ręką po nowe rozłożone w nieładzie na gładkim stole zwoje... Lecz ku jakiemuż zdumieniu memu najbliższe motki jedwabiu za wyciągnięciem jej ręki, same się poruszyły i podążyły ku niej, jak trociny żelaza za siłą magnesu.

— Co to znaczy?... wykrzyknąłem ze śmiechem, lecz i nie bez zdziwienia. Czy one żywe?!...

— Nie chcę was! Potrzebny mi tamten — mówiła o niebieskawym, opodal leżącym zwoju.

Zerwałem się, by go jej podać, lecz jedwab, ledwie się dotknął, wyslizgnął mi się z palców, jakby chciał uciec, i pobiegł ku staruszce.

— To jest rzecz bardzo naturalna. Niema co temu się dziwić. One mają tę własność lgnięcia i przybiegania do mnie. Zwłaszcza podczas mrozu trudno się im obronić. To rzecz zupełnie naturalna. Niech pan sam się przekona na sobie.

To mówiąc, podała mi dwie długie nitki i kazała trzymać je w palcach jednej ręki za końce.

— Proszę potrzeć je teraz drugą ręką, dobrze? Ot tak...

— I widzi pan teraz, jak te dwa koniuszki dolne odchylają się od siebie? One się wzajemnie nie znoszą.

Istotnie, dwa dolne końce nitek rozeszły się, tworząc rysunek kąta ostrego, schodzącego się w górze.

— Teraz niech pan przybliży do jednej z nitek prawą rękę na odległość paru cali.

Uczyniwszy to, widziałem, że i moja ręka ma pewną władzę przyciągania, bo do niej zaraz przylgnęła bliższa z nitek.

(Pewien gatunek nitek jedwabnych istotnie posiada tę własność, każdy to może osobistem doświadczeniem sprawdzić).

— To zwłaszcza na tych, pawiego koloru, najlepiej daje się zauważyć. Pewnie tu działa elektryczność, lub coś innego takiego, albo i nie takiego... One, jak sam pan widzi, idą do każdego, a ja widocznie mam więcej w sobie tej elektryczności lub czegoś innego, więc jeszcze silniej oddziałuję na nie. Bo to są, proszę pana, „Fildoflosy“! Taki osobliwy gatunek przedży...

— Czy to jest czysty jedwab? — zapytałem, trochę uspokojony.

— Może nawet i nieczysty, bo jest w nim coś, czego w zwykłym jedwabiu niema...

— Do tego trzeba panu wiedzieć — kończyła — że filoflosy mają jedną jeszcze osobliwą własność...

— I istnieje opinia uczonych — szybko wtrącił starszek — że przesławna nitka Aryadny była także z filoflosu...

— I powiadają — podchwyciła Leona — że jedyną rzeczą, która łączy świat umarłych ze światem żywych ludzi, jest kilka nikłych, cienkich, jak pajęczyna, i bardzo tęczyowych nitczek. Jeżeli na którą z nich natrafi czasem człowiek, to może nawiązać stosunek z tamtym światem; za-

równo i duch, gdy czasem taką niteczkę wypatrzy, może wejść w łączność z naszym...

— Tak, jakby telegraf pomiędzy dwoma światami — wtrącił złośliwie dziadek.

— Otóż niezliczoną ilością takich właśnie filofosików dusza ludzka połączona jest z ciałem — spokojnie wykladała babka. — Tylko są one stokrotnie cieńsze i niklejsze, tak, że ich wcale nie widać... Ale ponieważ dusza wciąż pragnie lecieć od ziemi tam, skąd przyleciała, więc one się czasem nadrywają i jedna lub druga pęka: wówczas człowiek choruje. A kiedy się wszystkie naraz zerwą, wtedy już wyzwolona ulata dusza w nieskończoność.

— I tem się też tłumaczy — skwapliwie dodał staruszek, który się znał na estetyce — że niektóre, zwłaszcza perskie materye, tkane z podobnych jedwabi, mają w sobie coś tak osobliwego: bo w nich się wiąże świat duchowy z materyalnym w doskonałe węzły. Węzeł, którym zdołamy te dwie odmienności związać, nazywamy udanym deseniem. I taką jest sztuka — i linie i barwy i wszystko w niej filofosowe. Czy dla pana to zrozumiałe?

— Zdaje mi się, że tak — odrzekłem i z lekką kurtuazją zwracając się do staruszki: to dla tej samej zapewne przyczyny — mówiłem — i hafty czcigodnej pani mają ten dziwny czar księżycowy, jak gdyby nieuchwytna baśń jakaś z zaświatów i życie realne ślub brały, kwitnąc na tej kanwie... A migotliwa srebrzystość, co ślizga się między ściegami, to radość owych zaślubin.

— Nie myli się pan, odrzekła z głęboką powagą i znaczeniem. Tak jest w rzeczy samej.

Naprawdę chwilami zdawało się, że ona macza igłę w czemś promienistym i wyciągając jakieś świetlne smugi, stębnuje niemi swe fantastyczne wzory.

I tak mi to wszystko wyglądało dziwnem i tak trudnem do wytłómaczenia nietylko przez prostą elektryczność, lecz i przez „coś innego takiego, albo nawet i nie takiego“ — iż czułem, że najlepiej chyba da się to wytłómaczyć jednem słowem:

— Filoflosy — szepnąłem. I to mnie uspokoiło zupełnie.

— Filoflosy!...

Ale już było późno i dawno po wieczery. Wstałem, by się pożegnać. Dziadek z serdecznością przemówił do mnie. — Jeżeli panu jest z nami dobrze, to i nam z panem. Proszę zagościć u nas trochę dłużej.

Tłómaczyłem się bardzo nagłącemi sprawami.

— Materyalne? — zapytał.

— Tak, całkiem! Jadę po pieniądze.

— O, wstydzilby się pan tak gonić za tą marą znikomą! Co za fanatyzm u was na tym punkcie!

Lecz, widząc, że się nie bardzo opieram:

— O! nie puścimy pana — rzekł. — Tamto nie ucieknie, nim pan nie dogoni... A młodemu mieszczuchowi należy się trochę powietrza wsi,

po zgiełku miejskim — zacisza. Chyba panu tu nudno — dodał, spojrzawszy na wnuczkę. Zostanie pan jeszcze, prawda?

— Zostanie, zostanie — zawołała Leona — nie puścimy, za nic!

Trudno było nie zostać i zostałem długo.

---

## ROZDZIAŁ IV.

### KSYTYJSCY MAGOWIE.

---

Przyjaźń moja z Leoną zacieśniała się coraz bardziej. Już byliśmy jak brat i siostra, prawie ciągle razem, o ile dziewczyna miała czas wolny od zajęć. Zapadały już między nami, wśród nieustających rozmów, i dłuższe chwile milczenia, te chwile wzajemnego zmieszania, kiedy zamiera dech w piersi, i serca, bijąc wolniej, rzekłbyś, zastanawiają się nad każdą literą w cichości zawieranego układu. To może są najtrwoźniejsze, ale najgłębsze paury w potęgującej się w szczęście symfonii wzajemnego odczucia.

Lecz chwilami przemknęła i chmurka po tych pogodnych lazurach. Czasem mimowoli dotknąłem dziewczynę jakimś niewinnym wyrazem lub zwrotem, w którym widocznie dostrzegła coś dzwiczącego aluzją. I we mnie również niekiedy budziło się nieco goryczy z powodu jej nie zawsze zrozumiałego postępowania, goryczy bladej i w gruncie rzeczy nieumotywowanej, w której jednak odzywała się pewna nuta zazdrości... Lecz względem kogo?

Leona nigdy nie dała mi żadnego kwiatu. A widziałem, że codziennie wiąże bukiety z jakichś, trzymających się jeszcze cudem w ogródku mimo późnej pory roku, nieśmiertelników. I wiem, że nie mogła nie odczuć mej widocznej chęci otrzymania z jej ręki takiego nieobowiązującego dowodu uwagi. Lecz gdzie się podziewały te, codziennie nowe, wiązanki? Nie widziałem ich nigdy w domu na stole, nie zabierała ich chyba do siebie. Pewno dawała je komuś w tajemnicy przedemną. Lecz komu?

Kiedyś na przechadzce z nią ujrzałem w alei świeżą, jakby porzuconą przez kogoś umyślnie różę blado-białego koloru. Leżała na pniu wyróconego drzewa, stanowiącego rodzaj ławki. Leona podniosła kwiat bez zdziwienia i machinalnie wpięła w stanik. Zrobiła to zresztą jakby z pewnem zniecierpliwieniem, a twarz jej przybrała wyraz ukrywanego bólu.

Kto to mógł tędy przechodzić tuż przed nami i zostawić ten kwiat blady i skąd go mógł dostać w tych stronach o tej porze roku? We dworze nie było cieplarni.

To pewno jakiś znak umówiony — przemknęło mi przez myśl i serce mi się ścisnęło głuchym bólem.

Spojrzała na mnie uważnie.

— Czego pan tak posmutniał?

Milczałem.

— Ale niechże pan powie, co się panu stało?

— Proszę mi dać tę różę — rzekłem.

— Nie mogę! — zawołała, jakby przelekniona, choć mogło to być również i zakłopotaniem.

I jakby znowu odgadła myśl moją:

— E, to brzydko — szepnęła z niezadowoleniem. — Mogę ją rzucić, jeśli to panu sprawi przyjemność. Lecz za nic w świecie jej bym pannę nie dała.

— Kwiaty przynoszą nieszczęście — dorzuciła po chwili.

Kiedy wracaliśmy z tej przechadzki, spostrzegłem znowu, że Leona kiwnęła głową, jakby na znak powitania lub pożegnania, przesyłając zarazem smutny dziwnie uśmiech komuś, ukrywającemu się prawdopodobnie za domem.

Co to mogłoby znaczyć — pomyślałem, dotknięty. Lecz dziewczyna znowu zwróciła się do mnie ze zwykłą wesołością, rozpraszając złe myśli dowcipnym szczebiotem.

I zrobiło mi się znów dobrze i pogodnie na duszy.

Dziadków jej widywałem tylko wieczorami.

— Czy wie pan coś o „ksytyjskich magach“ — zagadnął kiedyś staruszek.

— Nic nigdy o nich słyszałem. Co to są za tacy magowie?

— A to pan nie wie?... Byli to wielcy mędracy pewnego narodu, który już dawno przestał istnieć i którym historia wasza nie zajmuje się wcale. Oni wybornie przepowiadali przyszłość na



kilka tysięcy lat z góry. Zaraz panu przeczytam. To mówiąc, wyszedł z pokoju.

W tejże prawie chwili wrócił, mając w jednej ręce sporą księgę — wyglądającą na album do wklejania wycinków z gazet — a w drugiej jakieś pudełko, ozdobione miniaturą, wyglądające na drogą tabakierkę.

— Pan nie zna tego języka — starszy znacznie od sanskrytu. Przetłumaczę słowo w słowo. Ale nie częstowałem jeszcze pana tabaczką.

I stuknąwszy palcem w swą złotą tabakierkę, podsunął mi ją grzecznie.

— Jest wysmienita, prawie prawie hiszpańska, a przytem stara, to wielka zaleta.

Wydała mi się jak proszek tarty z mumii faraonów. Widocznie nie znałem się na tem, co dobre...

— Ja sam nie zażywam — mówił — za to palę jak Turek.

W istocie nie rozłączał się nigdy z swą ciężką, na niezmiernie długim cybuchu, fajką i z całym śpichlerzem tytoniu w prostym, drewnianem pudełku, stojącym zawsze przed nim na stole, skąd co chwila czerpał. Tabaka była jakby od parady.

Oto, co dowiedziałem się o owych magach:

„Życie ludzkie — czytał, szybko przerzucając stronicę — jest tylko błędem odbiciem wielkiego życia gwiazd w niebie, w koszlawem zwierciadle materialnego chaosu.

„Los człowieka idzie niewolniczo za swą gwiazdą, jak blask pochodni za łodzią płynącą po fali“...

— To nie tu — rzekł, odwracając parę kart.

„Im znaczniejszym jest los człowieka, tem wię-  
[ksza kieruje nim gwiazda

„A zaś największe są gwiazdy proroków.

„I ten jest sprawiedliwy, kto swą gwiazdę prze-  
[rzał“ ...

i t. d. i t. d. Oto właśnie — rzekł wreszcie —  
mamy owo proroctwo:

„Gdy największy z proroków wstąpi na padoley,

„Nie będzie gwiazd dość wielkich na nieba skle-  
[pieniu —

„Nie będzie gwiazdy takiej ani jednej

„Na pełnym iskier słonecznych przestworzu —

„By dźwignąć mogła Jego losu wagę...

„Więc z trzech stron nieba trzy niebieskie ciała

„Zejdą się w jedną gwiazdę — co jak słońce  
[wejdzie,

„Jak cud zaświeci i stanie nad Wschodem...

„I dobrzy mędracy Jej hołdować będą...

„Bo ona dźwignie Jego losu wagę...

„Stąd gdy trzy owe gwiazdy, co ów los dźwi-  
[gnęły

„Z powrotem się rozejdą we trzy nieba strony,

„Żywot Jego tak krwawem skończy się rozdar-  
[ciem!

— Nieprawdaż — rzekł — to chyba jest zaj-  
mujące? Trzydzieści wieków przed Narodzeniem  
Chrystusa — przepowiedzieć tak wiernie i niemal  
dosłownie?

To zapytanie jego było wyraźnem twierdzeniem, że tak sądziłem w istocie.

— Nie wiedziałem nic o tych przepowiedniach; pan ma jakieś nadzwyczaj zajmujące książki.

— A mam dość znaczną bibliotekę, tylko panu wydać się może ona, jakby z księżycy... Pan pewno o żadnej z mych książek nigdy nie słyszał... U was się nie zajmują tego rodzaju dziełami...

Wyliczył mi cały szereg tytułów i nazwisk autorów, o których w istocie nie słyszałem nigdy... zupełnie jakby z księżycy...

— Jutro wyszukam panu coś z trochę lżejszej lektury...

Weszła staruszka z haftami, a za nią cicho wśliznęła się Leona. To odwróciło uwagę moją od dłuższego zastanawiania się nad literaturą dziadka.

Dziewczyna rozmawiała półgłosem ze staruszką, jakby się z czegoś tłumaczyła przed nią. Nie słyszałem słów, lecz dźwięk jej słodkiego, tłumionego głosu, pełnego głębi, rozmarzał mnie, budził w duszy jakieś nieokreślone tęsknoty i obrazy...

W tem ujął mnie nagle pod ramię dziadek i, zaprowadziwszy do drugiego kąta, zaczął opowiadać dość słoną anegdotę o jakiejś prababce czy praprababce Kleopatry, w istocie dosyć zabawną. Lecz przytem zgorszył się bardzo na wspomnienie o praprawnuczce — Kleopatrze samej, że tak rozwiązyły prowadziła żywot. Dowiedziałem się właśnie, że ta staroświecka królowa dopuściła się ongi czegoś tak seksualnie monstrualnego, iż o

tem woli przemilczeć historia, powodując się zapewne i tym razem względami społecznej pedagogii...

— I to się jeszcze działo w czasach tak niedawnych — dodał z prawdziwym oburzeniem.

Uśmiechnąłem się mimowoli na jego pojęcia o dawności.

— No, pan, jak widzę — rzekł, spostrzegłszy moją wesołość, — zupełnie się na czasach nie zna.

— Lecz nie opowiedziałem panu wszystkiego, co było we wczorajszej gazecie. Było parę ciekawych artykułów.. Ludzie naprawdę zaczynają myśleć o duchach... Choć zresztą fakty nastroczają się same. Zwiększa się ilość niepokojących objawów z dnia na dzień.... Ażeby uspokoić umysły, pracują warsztaty kiepskich teoryj, nie zgola nie tłumaczących. Wyobraźnia dzieci jest bardzo wrażliwą na tajemnicze duchowe zjawiska, więc w celu odwrócenia jej od rzeczy niepotrzebnych, zaleca się jak najgłępsze podręczniki; niech nie rozwijają się władze widzenia tego, czego przyjęta dziś przez zmysły ludzkie moda nakazuje raczej nie widzieć. Mimo to wszystko, umysły skierowują się ku nadnaturalnościom.

— Może to postępek -- rzekłem — takie masowe zwrócenie się od krańcowego materializmu, ku zaświatowym sferom?...

Popatrzył przez chwilę na mnie poważniej, z pewnem nawet zajęciem, lecz zaraz znów przybrał swój zwykły kpiący wyraz.

— Może i postęp — odpowiedział. — Ale jakże niewdzięcznie brzmi ów wyraz kupieckiego wynalazku: „postęp“ tam, gdzie jest mowa o czemś, co nazywamy „duchami“!

— Duch, wieczny rewolucjonista... — rzekłem.

— Duch wieczny konserwatysta... — przedrzeźniał. — Proszę pana! ludzie wcale duchów sobie nie życzą. Myślą tylko, jakby się im opędzić. Bo jak to wyczytałem w jednym z artykułów: „Duchy nie tylko że straszą ludzi i nic im nie dają realnego, lecz owszem, zabierają im realności...“ Coraz więcej zjawia się nawiedzonych mieszkań. Miasteczko \*\*\* jest wyludnione doszczętnie. Ludzie puciekali, a na ich miejsce rozgospodarowały się „niedorzeczne“ siły.

— Ale czemuż oni tak uciekają — wtrąciła naiwnie Leona — ja na ich miejscu wcalebym nie uciekała.

— I ja tembardziej — uśmiechnął się dziadek.

Babcia w swym czarnym czepeczku na zupełnie srebrnych włosach, wyprostowana i sztywniejsza, niż zwykle, siedziała, odrzucona plecami, w fotelu. Powieki miała zamknięte; ręce jej długie i nieruchome leżały ciężko na haftach. Była straszliwie blada i prawie przeźrocystsza od wosku. Drzemała.

— Czy babcia pani nie chora, panno Leono?

— O nie! Tylko bardzo zmęczona. Ona tak często przymyka oczy i odpoczywa. Bo zanadto się męczy, pragnąc koniecznie dotrzymać mnie placu. Ale babunia słyszy wszystko, o czem mówimy.

— Ach, jak mi ciężko — westchnęła, otwierając oczy, starszka — wytrzymać tu! Taka jestem znużona, znużona. Tak chciałabym już pójść tam — gdzie oni — i uśmiechnęła się dobrotliwie do wnuczki...

Tu dziadek znowu wyjął z kieszeni gazetę.

— Zajmuje pana polityka? — zapytał.

— Bardzo.

— To będę panu czytał. O! grubym drukiem depesze!

I zaczął czytać tym razem płynniej i potoczniej, niż wczoraj.

— Miasteczko\*\*\* — już nie należy do świata — widzi pan? najświeższa wiadomość...

Spojrzał bystro na mnie i czytał dalej:

„Z miasteczka\*\*\* pouciekali literalnie wszyscy. Wszystkie domy stoją pustkami. Mimo usilnych perswazyj, nikogo z pokrzywdzonych nie udało się nakłonić, by wrócił do swego mieszkania Wzburzenie umysłów wielkie, ogólna panika“.

„Podobne zjawiska w silnym stopniu zaczynają się przejawiać i w innych miastach“...

— Oto jeszcze jeden bardzo ważny telegram:

„Najjaśniejszy pan z własnej szkatuły zaofiarował znaczną kwotę na poszkodowanych“.

Następnie przeczytał listę nawiedzonych miejscowości, w każdej prawie było już po kilka, w niektórych zaś po kilkanaście niemieszkalnych domów.

Nie mogłem nie zauważyć, że dziadek, czytając gazetę, wcale nieprzewracał stron — wpatrywał

się ustawicznie w jedno miejsce, w jeden wiersz druku. Spostrzegłem też, że manewruje dziennikiem w taki sposób, żebym nie mógł zobaczyć tekstu. Nawet tytuł pozostał dla mnie na zawsze tajemnicą.

— Zabawne jakieś, humorystyczne pisemko dla oryginałów — pomyślałem sobie.

„Cała ludność miasteczka — czytał dalej — wyparta przez strasznych intruzów, znalazła się nagle bez dachu nad głową. Niektórych tymczasowo udało się porozmieszczać w okolicznych wsiach i dworach. Lecz większa część tych biedaków, nie mając gdzie się schronić, nocuje pod gołym niebem. Kobiety, starcy i dzieci walają się przy drogach, jak ostatni żebracy. Niektórzy gromadami obozują w lasach. Porozbijane namioty i zapalone ognie dziwnie fantastyczny śród nocy przedstawiają widok. Przypomina to koczownicze bandy cygańskie, lub rzesze pogorzalców czy powodzian, którym nie udało się nic z całego mienia wydrzeć nieubłaganym żywiołom. Nie ma co mówić, prawdziwy obraz nędzy i rozpacz. Odwołujemy się gorąco do publiczności w imieniu gorzkiej doli tych nieszczęśliwych..“

„Liczni reporterzy, uczeni i ciekawi przepelnionymi pociągami podążają na miejsce klęski. Towarzystwa dobroczynne wysłały swych delegatów w celu zorganizowania natychmiastowej pomocy.

„Wydano wielki bal kostyumowy (stroje z epoki Ludwika XIV) pod protektoratem mecenaso-

wej X i księcia Y, który to bal nader świetnie się udał. Tańczono do samego rana. Kotylion skończył się o 8, kiedy już pootwierano piekarnie i zaczynało wymiatanie ulic.

„Słysząc o zamierzonej jednodniówce, w której mają wziąć udział wszystkie, najwybitniejsze siły literackie i artystyczne. Dochód z jednodniówki przeznaczono na fundusz ratunkowy dla dotkniętych klęską.

„Lecz, pomimo to wszystko, właściwe organa władzy — mówiąc nawiasem — nie uradziły dotąd jeszcze nic w tej palącej sprawie (*przyp. red.*)!!!

„Nie dajmy się ludzi optymistom. Czas rozbić różowe szkiełka ich okularów! Trzeba radzić i zapobiegliwie myśleć o przyszłości. Klęska wcale się na tem nie zatrzymała, owszem, są wszelkie dane, by przypuszczać, że będzie rozszerzać się coraz bardziej — jeżeli jej nie powstrzymamy w porę. Jak dotąd, ilość podejrzanych objawów ciągle wzrasta.

„Ta nieubłagana epidemia „duchów“ ogarnia z początku jakiś punkt jeden, skąd rozchodzi się odśrodkowo, wybuchając to tu, to ówdzie, w miejscach, gdzie nikt się tego nie spodziewał“...

— Czy to tylko nie „kaczka“ — zapytałem nieśmiało, a wzrok mój padł na podejrzaną gazetkę. Co to za pismo? Mogę je przejrzeć?...

Na tę propozycję zachnął się dziadek prawie z przerażeniem i cofnąwszy gazetę, wlepił we mnie wzrok nieufności pełny.



— Jedno z najstarszych pism — po chwili rzekł urażony — najdokładniejsze wiadomości. Gdyby pojawiły się tu „kaczki dziennikarskie“, natychmiast przestałbym prenumerować.. Widziałem, że ręce mu drżały.

— Lecz to poprostu niebywałe!... Skądżeby naraz na świecie tyle „duchów“ się zjawilo?

— Niebywałe, póki się nie stało... Pan rozumie jak ów lama buddyjski, który nie ruszając się z miejsca przez całe życie, dopiero gdy się zestarzał, poszedł w świat szukać rzeki obmywającej z grzechów. Dziwił się, że ziemia naraz stała się tak szeroką, że tyle miast na niej się znalazło i tylu, tylu rozmaitych ludzi. Lecz temu wcale się nie dziwił prowadzący go mały wyrostek, który zdołał już więcej świata widzieć od starego mędrca, bo był z urodzenia włóczęgą.

Doprawdyż, jak sam naturalnie nie wierzyłem w wymyślone przezemnie opowiadanie o strachach w miasteczku \*\*\*, w egzystencję jakiegoś profesora Menszla — tak temu dalszemu ciągowi tej mimowolnej mojej dykteryjki, trudniejszym jeszcze do uwierzenia depeszom podejrzaney gazetki, być może pod wpływem drukowanego słowa lub, co pewniejsza, okularów dziwnego starca i tonu jego mowy, zdawało mi się chwilami, że prawie jestem gotów wierzyć... Co się stało ze mną?...

To chyba staruszek mnie suggestyonuje — myślałem. Lecz z drugiej strony, cóż znów jest tak nieprawdopodobnego w fakcie, że całe miasteczko zwaryowało ze strachu...

Jednakże to wszystko wygląda na grubą przesadę — powiedziałem sobie w duchu... — A może i nie — dodałem zaraz...

Staruszek siedział przez chwilę w milczeniu. Pałac swą nieprawdopodobnych rozmiarów fajkę, otaczał się sążniowemi obłokami dymu. Wyglądał jakby jakaś siedząca, obkadzana mumia.

— A! — zerwał się nagle — nie zażył pan jeszcze tabaczki! Uważa pan, jaki ma wytworny zapach?

Zażyłem szczyptę, przez grzeczność. Naprawdę czuć było ją sarkofagami...

Ten nagły zwrot do tabaki i jej wytworny zapach, wyrwały mnie ze stanu odrętwienia, w który już zacząłem zapadać pod wpływem usłyszanym nowin.

Leona, jak zawsze, chwilami spoglądała na mnie swemi spokojnemi oczyma, i czułem że ją daleko mniej zaprzatają kwestye, z którymi ja się tak bezcelowo poram.

Zaczęła się zuowu serya anegdot, dowcipów i kalemburów, którymi sypał dziadek tem błyskotliwiej, że towarzyszyło im przy każdym żywym koncepcie wybuchające raptownie światło szkieł jego okularów. Miało ono coś z blasku potrząsanego próchna....

Leonie kazano czytać jakąś wygasłą z treści nowelę, mającą jeszcze coś z zapachu misternego puzderka, skąd dawno wywietrzały perfumy, a która mi się wydawała, jak gdyby jakiś czytany na głos, spłowiały, ciągnący się w nieskończoność gobelin.

I wieczór przeszedł senliwie, mętnie, monotonnie, jak gdyby wrażenia me na płasko kładły się w deseń winący się z filofosów, kalemburów „politycznych” sensacyj i brzmienia głosu Leony, okularów staruszka, mumiowatości jego wyglądu, medalowego profilu babki i jej cienkich, przezroczystych, jak wosk palców... A wszystko to przesuwano się po mym mózgu jakimś powolnym, menuetowym ruchem.

Lecz miałem chwilę prawdziwie dojmującego wrażenia, gdy wracałem do siebie na noc. Ujrzałem ponurego nieznajomego mego, który oto znowu wyraźnie chciał mnie zagadnąć i szybko zmierzał ku mnie. Postarałem się uniknąć niemiłego spotkania i przyspieszyłem kroku. Na widok tego człowieka doznawałem dreszczów.

---

## ROZDZIAŁ V.

*Motto:* O śmierci, wielki okrzyku Przemiany,  
O Ty, brzezienna tem, co myślą będzie.  
Niosąca dziecku w darze bói nieznanu  
I twej matczynej miłości orędzie!...

(*Karol Roztworowski: „Pro memoria“*).

## ZŁOTE JABŁKA.

Przeszło dni kilka. Taka już panowała między mną a Leoną zażyłość i ja tak czułem się dobrze w tej słonecznej harmonii, że wszystko, co nie było w bezpośrednim z nią związku, straciło w oczach mych wszelką wagę i znaczenie. Przystałem myśleć o spadku. Myślałem tylko o tem, że jestem kochany.

Nie było między nami żadnego wyznania, żadnego słownego porozumienia.. lecz czułem, że serca nasze już dobrze się rozumiały wzajemnie. Kąpiąc się z całą rozkoszą w jakiejś trwożliwej nieśmiałości, której doznawałem w obecności Leony, zwlekałem jakby umyślnie z wyraźnem postawieniem sprawy. Bo czasem miłość nie bywa tylko powieścią, w której się śpięcznie przebiega stronica, dążąc do ostatniego rozdziału, lecz pię-

kniewym rymowanym utworze poetyckim, gdzie czytający długo się pieści pierwszymi zwrotkami, zanim przejdzie do dalszych...

Jednakże teraz już byłem gotów powiedzieć Leonie, że ją kocham.

Ona o tem wiedziała dobrze, umiając przenikać moją duszę zgadywaniem. Widocznem to było i z drżenia lekkiego, które dostrzegałem, gdy zwracał się do niej w rozmowie, z unikania mego wzroku i raptownego urywania pod jakimś niezręcznym pretekstem w chwili, gdy pewno sądziła, że zacznę... Widocznem to było i z owych mgieł rozmarzenia w jej oczach i nagle wybuchających rumieńców.

Na tak łatwą jednak pozornie i prostą rzecz jakże jest trudno czasami się zdobyć! Zaczynałem się w chwilach, gdy miałem już zacząć. Nie mogłem zrobić tego z prostotą i bez ogródek, jak nakazywał rozum; lecz obchodząc z daleka, zaczynałem od rzeczy, nie nie mających z tem wspólnego, plątałem się i nie mogłem skończyć... Dziewczyńie wyraźnie to sprawiało przyjemność, droczyła się ze mną.

— Czy pani dawno straciła rodziców? — zacząłem od pytania, w którym być może i było coś z utraconego tonu.

— O, dawno — odpowiedziała — było to jeszcze w dzieciństwie, dla mnie to bardzo dawno!... Nie pamiętam nawet prawie, jak się to stało — chyba jak przez sen... Z początku myślałam, że to dziadkowie są nimi...

Podrósłszy trochę, dowiedziałam się, że rodzice mnie odumarli, gdy nie miałam jeszcze nawet dwóch lat, i prawie jednocześnie, podczas epidemii, gdy bardzo wielu ludzi umierało w tych stronach. Osiemnaście lat temu grasowała tu czarna ospa. Widział pan te kurchany przy drodze?... Wymiotła do szczętu całe wioski, wyludniła dwory. Prawie wszystko, co żyło w okolicy, zginęło, a reszta ponieką.. Zaczęło się od tego, że zaraza zabrała naszego proboszcza, siwiutkiego jak gołąb staruszka, i umierający nie mogli doznać nawet ostatniej pociechy... Na kilka mil w około opustoszało tu wszystko i jeszcze wiele lat potem, po ustąpieniu zarazy, bano się tych stron, jak ognia... Dziś nawet, jak pan widzi, nie są prawie przez nikogo uczęszczane, dziś jeszcze ludzie się boją. Gdzieniegdzie tylko dojeżdża czasami rzadca do zapadłego folwarku, albo żyd, handlujący lasem..

— Czyż ludzie dziś jeszcze boją się tej epidemii? Wszak tyle czasu już przeszło?

— Zdaje mi się, że tak. Lecz oni na ogół tych stron nie lubią i unikają, nie wiem dla jakich powodów...

— Więc to dziadkowie panią wychowywali?

— Tak, dziadus i babunia, i ponieważ pieścili mnie niezmiernie, więc wyrosłam na takie coś, jak sam widzi, nic dobrego zupełnie. Tacy byli dobrzy, tacy troskliwi, że nie poczułam się nigdy sierotą...

Tu zadumała się rzewnie i przymrużyła z lekka powieki, a wzrok jej leciał gdzieś w dal,

przed siebie, rzekłbyś, ścigając jakieś oddalone widma.

„O, jakże cudnem było to moje dziedzictwo!... Tyle wspomnień zostało po niem, nawet jeszcze z czasu, gdy żyli rodzice... I zdaje mi się, że pamiętam matkę... przynajmniej wiem, jak ona wyglądała... o wiem z pewnością!... To takie dziwne — te moje wspomnienia... i wie pan? one mają zapach szczęścia. Lecz wszystkie poplątane, niejasne i prawie niepodobne do prawdy — jakgdyby sny w nich pomieszały się z tem, co się działo na jawie, rzeczywistość z urojeniem, tak, że jedno od drugiego już się nie daje odróżnić. I wszystko to razem splotło się w jakąś sieć barwną i pogmatwaną, w jakiś kłębek ruchomy, w którym nie sposób jest dopatrzeć się początku i końca.

„Tak prawie wszystko — jak ów sen dziwny o złotych jabłkach, który nie wiem, jak dawno miałam, bo i czas się pomieszał — chwile dawniejsze, z późniejszymi chwilami...

„Był jakiś ogród, cały srebrny od szronów — jakby ten nasz ogródek — w nim same tylko jabłonie, wszystkie z białemi gałązkami; dokoła śnieg świeży, niendeptany, taki zimny, rozkoszny. Cieszyło mnie niezmiernie, że brnę, prawie po kolana w tym puchu, świeżym jak zdrowie. Nie byłam sama. Ktoś ze mną razem chodził, nie wiem, kto to był taki, lecz wiem, że był to ktoś piękny jak anioł. Na jednej z jabłonek, zupełnie białutkiej, naraz spostrzegłam kilka dużych, purpuro-

wo-złoty ch owoców. Zbliżyłam się zachwycona, i już miałam podskoczyć, by zerwać chociażby jeden, gdy w tem srebrzysty puch osiędzieliny posypał się na mnie i owiał mnie całą zawiejką, a jabłka, zatrzepotawszy żwawo skrzydełkami, fruwały z drzewa i poznikały, rozlatując się w różne strony.

„Mógł więc to być tylko sen, bo skądżeby jabłka w zimie na gałęziach i do tego skrzydlate?”

„Lecz tak go jasno uprzytomniam sobie, że mogła to być i prawda: na oszronionej jabłonce mogły siedzieć gile, które, podbiegając za blisko, spłoszyłam.

„I wszystko, co przypominam sobie, jest w tym rodzaju: mogło być snem albo złudzeniem, grą wyobraźni lub prawdą: chociaż nie wszystko tak łatwo da się wytłómaczyć, jak owe jabłka-gile.

— Jak żywa poezya — wtrąciłem — jednako piękna w dwojakim tłumaczeniu.

„Raz w ciepły wieczór letni, pełen półświatła i zapachów, które się już poulatniały z ziemi, drzewa szumiały sennie i kołysząco... Ja rozumiałam ten szum ich, wiedziałam, jakie szeptem wymawiają słowa, choć dziś już żadną miarą znaczenia tych słów sobie nie przypominę. Tak było mi cicho i błogo, że śmiechałam się do wszystkich otaczających mnie przedmiotów. A wszystkie dookoła przedmioty, jak gdyby mnie rozumiały i chciały bawić, pokazywały mi coś na migi i kiwały na mnie... Wszystko się poruszało, pochylało się wolno i odchyłało miarowym płynnym ruchem. Pobliskie



budynki i las oddalony i wzgórze chwiała się w takt wahadłowo... I niebo całe, usiane gwiazdami, zbliżało się ku mnie i oddalało, wachlując — i w tę i w ową stronę... Otwarte okno razem ze ścianą i sufitem przesuwało się w prawo, to w lewo, i wszystkie sprzęty pokoju krążyły, wirowały...

„Być może wtedy mnie kołysano w kolebce.

„Pamiętam raz, księżyc zeszedł nagle z nieba i usiadł przy mnie, tuż przy mej twarzy samej i długo wykrzywił się, drażniąc — ogromny, jasny, pyzaty... Aż chciałam pochwycić go za policzek i odepchnąć, bo już zaczynał mnie nudzić, lecz nie mogłam wydobyć rąk z matczynych błogich objęć...

„Ale nie tylko księżyc, bo i las oddalony i wzgórze niebieskawymi smugami przychodziły do mnie i chmurki srebrne i błękitne zdawały się — tuż, tak blisko, blisko, aż się dotykały... Kładły się na mnie gładkie i jakby ogromną szybą lustrzaną przesuwały się po mej twarzy...

„Nie... owszem... to ja na tem wszystkim sama leżałam i jak po szklistej powierzchni jeziora zsuwałam się, płynęłam memi trwożnemi, szeroko otwartemi żrenicami po sadach i lasach i obłokach, po ziemi i po niebie, siedząca cała w mych oczach, jak w łodzi.

„Ale później już księżyc nie przychodził do mnie tak blisko, nigdy... nigdy... I gwiazdy i obłoki pozostały na zawsze tam, gdzie są teraz, wysoko, w górze...

„Dziadek mój, który jest bardzo uczony, wykladał mi potem długo, że mogły to być i prawdziwe, wiernie zapamiętane wrażenia z pierwszego dzieciństwa...

„Był to czas cudów, kiedy wystarczało mi tylko pomyśleć o „ptaszku-muszcze“ kolibrze, a już on usiadł na mem ramieniu i śpiewał; albo wyobrazić tylko jak wygląda morze — a ono już falowało szumiące i biło pianami — o skały — w moim malutkim pokoiku, obryzgując niemal moje dziecięce trzewiczki...

„Czasem ktoś przyłożywszy jedną dłoń moją do drugiej, szeptał mi cicho o jakiejś wielkiej, tajemniczej zorzy, a słuchając, widziałam to światło ogromne, perłowo-różane nad łąką, woni pełną i kolorów. Na łące stały jak gdyby ule ze złota; a z nich wylatywały co chwila świecące się pszczołki i zbliżając się ku mnie, ogromniały, aż w końcu były już takie duże jak człowiek, tylko piękniejsze, i miały n ramion coś na kształt harf z księżycowych promieni, któremi w locie wachlując po powietrzu grały...

„I powiedziano mi, że to są aniołowie.

„A dopiero teraz niedawno przeczytałam wiersz nieznanego poety... o tem samem... Wiersz ten umiem na pamięć:

„Aniołowie to pszczołki, mają domek Boży,  
Każdy w nim swoją celkę zbudował świetlaną,  
Każdy z tęczą we włosach, wylata co rano  
Na łąkę żywym kwieciem ludzkich serc usianą

I kołuje skrzydlaty i krąży o zorzy,  
I gromadzi miód złoty na pożytek Boży...

„Ach! a te gryby olbrzymy, siedzące na leśnych pagórkach!... mnie pelzającej po mchach za muszkami wydawał się każdy jak głowa Sfinksa na pustyni Egiptu... a te ich czapy ogromne, pod które, gdy się zajrzeć nie lękasz — zobaczysz cały labirynt półciemnych pokoi... — „Tam musi mieszkać czarodziej — na szczęście niema go w domu“...

„A te sny fantastyczne, dziwaczne, z których nie sposób się obudzić; bo kiedy nie dawszy się podejść chytróściom, zrozumiesz, że to jest sen, a nie jawa, i zmusisz się do ocknięcia — to znajdziesz się w kraju jeszcze fantastyczniejszym i niemożliwszym stokroć — w innym śnie jakimś, w którym się tamten zawierał jak mniejsze pudełeczko w większem.

„Kiedyś u nas bywało gwarniej w tym domu, i ten gwar głosów wielu ludzi przypomina mi się, jako coś niesłychanie miłego. Tak słodko było usypiać przy tym gwarze, zwłaszcza, gdy od czasu do czasu wbiegłszy cichutko do pokoju, pochylił się nademną — ktoś niewypowiedzianie drogi... To pewno była matka...

„Ale nigdy, o nigdy nie zapomnę tej naglej ciszy, tej okropnej ciszy, która zapadła tak niespodziewanie... Mnie było wówczas tak źle, o tak źle strasznie! I nikt już nie pochylił się nad mą kołyską... Płakałam długo...

„To był sen ciężki, złowrogi; a gdy się z niego ocknęłam, dziadek i babka byli przy mnie, głaskali i pocieszali sierotę.

„O, jakże ja kocham tych staruszków!“

— Ale chodźmy — rzekła — dziadus się niecierpliwi i chce coś panu przeczytać. Już trzyma swoją gazetkę.

— Już nic pana nie interesuje, co się dzieje na świecie... Niech pan zażyje tabaczkę — przemówił ujrawszy mnie staruszek. — Chce pan trochę polityki?

— Czy znowu o duchach? — zapytałem z uśmiechem.

— A naturalnie.

— Czyż duchy — to polityka? — Wyrwało mi się niezręcznie.

— Tak panie, to jest jedyna polityka, którą się warto jeszcze zajmować.

— Mnie zresztą — dodał — wie pan, co najbardziej obchodzi?

— Nie wiem.

— No, proszę zgadnąć!

Nie mogłem się domyśleć.

— Nekrologi. O, mam całą kolekcję klepsydr. To moja specjalność studyowanie tego odłamu wiedzy... I jakie ciekawe są owe plotki o pogrzebach!... Niech mi pan wierzy, to są prawdziwie zajmujące rzeczy...

Dziwny gust, pomyślałem, ale dziwactwa tego człowieczka w „termolamie“ miewały zwykle jakąś

ukrytą głębię i tembardziej czyniły go interesującym.

Spostrzegł jednak widocznie moje zdziwienie.

— Bo widzi pan — dodał w tej chwili — kiedy człowiek się rodzi, to nie osobliwego się nie dzieje; dopiero gdy umrze — wtedy zaczyna się coś prawdziwie interesującego. — Wie pan, skąd powstał kult zmarłych — ciągnął — jak to na przykład było u Egipcyan?

— Nie lubię Egipcyan — odezwała się starszka — bo tam uważano kradzież za fach ucziwy. Cóż dziwnego, że taki naród upadł?

— Ależ moja droga — zachnął się dziadek — ty zawsze zabierasz głos w sprawach, o których nie masz najmniejszego pojęcia... Tam były takie obyczaje — u pogan...

— Złe były obyczaje — dodała z niewzruszonym spokojem — i dlatego zginęli. Sprawiedliwość Boska...

— Nie przerywaj mi, proszę! Zresztą, i dziś wszystkie rządy europejskie stoją na dyplomacyi... Ale o czemże mówiliśmy? A tak... gdy człowiek umiera, wtedy dopiero zaczyna się coś prawdziwie interesującego...

— Rozumiem to — podchwyciłem, poczuwszy nagle potrzebę wytłómaczenia się... — Zewnętrzne formy naszego istnienia, stanowiące życie obecne, zasłaniają istotną prawdę, która może nam będzie dostępną po wyzwoleniu się z pęt ciała...

— Ta! ta! ta!... — przerwał z humorem.

— Pan, widzę, czytuje Platona — i śpiesznie zacytował zaraz: „Jeżeli rozumiemy, że będąc obleczeni ciałem, nie będziemy mogli dojść zrozumienia istoty rzeczy samej, to będziemy mogli postawić tylko dwa wnioski: że albo nigdy nie zdołamy dojść zrozumienia, albo dopiero po śmierci“. To jest ten właśnie ustęp z Fedona.

— Proszę pana — rzekł nagle, odłożywszy fajkę i gazetę, i patrząc na mnie z jakąś uroczą ekspresją: Plato wszystko odwołał.

— Co odwołał?... Plato?...

— To wszystko, co pisał o nieśmiertelności duszy.

— Jakto? Dlaczego?

— Bo to nie tak!

Wyrzekł to z pewnem zniecierpliwieniem i spojrział na mnie niechętnie, że tak mało jestem domyślny.

Wlepiałem weń oczy osłupiałe i nie bez tajemniczego lęku:

— Więc Plato wszystko odwołał?!.. — rzekłem.

Ale staruszek już cały w dymie swej fajki, nie patrząc na mnie, pokręcał głową przecząco, z ironicznym, jemu tylko właściwym, zimnym i zagadkowym uśmiechem.

Po chwili zaczął czytać o polityce.

„Straszliwa klęska. tem straszliwsza, że nieoczekiwana, rozszerza się ze zdumiewającą szybkością. Już całe setki większych dworów, tysiące domów zwyczajnych, kilka miast całych, w ich rządzie nawet jedno znaczniejsze, stoją jak gdyby

w płomieniach, na pastwie złowrogiej potęgi. Wszystko wyludnione doszczętnie pustknie w najokropniejszy sposób. Niemożność zbadania samego zjawiska, niemożność poznania i zrozumienia, kim jest ów groźny nieprzyjaciel, nie chcący nawet odsłonić przyłbicy — poduosi tylko trwożny stan niepewności i nerwowego napięcia, który pogrąża w bezwład nawet najdzielniejsze głowy.

„Ilość umysłowo chorych powiększa się ciągle.

„Nie wiele zaradziła pomoc filantropów. Skromny fundusz zebrany z publicznej ofiarności niewystarcza... Tysiące biednych i bezdomnych wyciągają ręce... Wobec zaś wyczerpania kredytów na cele zbrojenia, nie może i rząd asygnować żadnej większej sumy... Zresztą ci z poszkodowanych, którym udało się wybudować nowe domy gdzieindziej, zaledwie się w nich rozlokowali, musieli porzucić je znowu. Widocznie pozostały w nich jakieś zarodki ducha, któremi zakazają swe nowe mieszkania.

„Słysząc o licznych bankructwach.

„Całe bandy nędzarzy, niekiedy i literatów, ze wszech stron ciągną ku większym miastom, wołając: „chleba!“

„Po drogach z krzykiem nieludzkim przebiegają waryaci, niekiedy w bardzo niebezpiecznych stadyach szału. Na szczęście jednak wpadają oni do miast, gdzie ich się chwyta i umieszcza w szpitalach, a w braku tam miejsca, osadza się po więzieniach. Z idyotami łatwiej dano sobie ra-

dy — poprzepelniano nimi urzędy... Dotkliwy brak aresztów boleśnie się daje uczuwać...“

„Bo na domiar złego potworzyło się mnóstwo szajek zbójckich, które ustawicznie urządzają napady. Zbóje rządzić zaczynają ludnością, trzęsą całemi okolicami i jawnie żądają podatku. Rozdzierające sceny mordu i grabieży. Bandyeci w celu łatwiejszego rabunku często przebierają się za widma. Napadnięci nawet się wcale nie bronią i za ukazaniem się masek uciekają w popłochu, zostawiając swe mienie na pastwę chytrych rabusiów“.

— Pewni są, że to duchy — rzekł, przerywając czytanie, a to tylko złodzieje... Oto — z artykułu „Smutne przewidywania“:

„Jeżeli klęska będzie się rozszerzała tak dalej — to w krótkim czasie cała ludzkość może się znaleźć w smutnej alternatywie: albo zdziczeć po lasach i stepach, albo wyemigrować gdzieś po nad obłoki. — Bo gdzież się podzieją biedni synowie Prometeusza, wyparci z swego odwiecznego dziedzictwa — globu ziemskiego?! Jakkolwiek wysoko stoi nasza cywilizacya, nie zdołaliśmy jeszcze przeprowadzić kolei do księżyca, chociażby jednotorowej.. Nawet łatwiejszy do wykonania projekt inżyniera X. zrobienia szosy porządnej w pewnej, zaniedbanej prowincyi, gnije dotychczas nierozpatrzonej, w departamencie. W miejscowości owej. z powodu braku nawet aluzyi do dróg, nietylko dróg samych, panuje zupełny zastój; sąsiedzi nie odwiedzają się nawet w święta Wielkiej Nocy!...



— Oto opis „inwazyi“:

„To jakiś wojowniczy zamach na spokojną ludność ziemską, formalny zalew całego globu przez złowrogie moce, nierealne, lecz równocześnie obdarzone rozumem jak człowiek. Bo jeśli z kształtu widzianych przez teleskop kanałów na Marsie można było wnioskować, że tam istnieją podobne do nas twory, to z planowości prowadzenia zaboru przez te nieuchwytnie abstrakcyjne musimy chyba przypuszczać, że to jest coś, co umie po naszymu myśleć“.

— Cóż pan na to wszystko? — zagadnął mnie w końcu staruszek.

Nie znalazłem nic do odpowiedzi.

— To może pismo jakiegoś klubu nieszkodliwych maniaków — przeszło mi przez myśl. — Staruszek mój naprawdę wygląda na kiepskiego waryata; wszystko, co czytał i mówił, czasem i mnie doprowadzało do szaleństwa... A jednak było coś w tym dziwnym człowieku, co nie pozwalało tak łatwo przejść do porządku nad zagadką jego umysłu — prostym określeniem: waryat.

Lecz, co w tem tkwiło, napróżno usiłowałem dociec.

Z dalszych opowiadań dziadka został mi w pamięci jeden dłuższy artykuł, pod tytułem: „Zdobycze wiedzy“. Oto treść jego:

Miasta, opанowane przez duchy, zarówno w dzień jak i w nocy, zieją pustkami i takim strachem przejmują okolicznych mieszkańców, że nie zna-

laź się nawet wśród wyzutych z czci i wiary opryszków, którym nie stanowi nic zamordować człowieka i trupa obedrzeć, żaden amator pójścia tam, ażeby zabrać skarby, pozostawione przez mieszkańców podczas panicznej ucieczki. Za to niewrażliwe na widma (podług jednych, podług drugich w znowie z nimi będące) szczury rozgospodarowały się tam na dobre. Czasami wilki szukając zdobyczy, ośmielone nieobecnością człowieka, ściągają w te pustki i włóczą się zgrajami po ulicach. Jednakże i dzikie zwierzęta musiały zwietrzyć coś nienaturalnego, bo czasem, zbiegłszy się na placu, zaczynają wyć choralnie. I to niestety dzieje się w miejscu, gdzie jeszcze tak niedawno podczas wyborów tłoczyła się ludność, słuchając wykwintnych mów kandydujących do krzesła poselskiego dobroczyńców, lub jeszcze słodszych brzmień manifestu, obwieszczającego ulgę dla uwięzionych zbrodniarzy i powiększenie podatków dla lojalnych obywateli. Jakże się muszą kruszyć serca prawdziwych patriotów na myśl o takiej zgrozie!

Jeden tylko człowiek ma odwagę zaglądać w te pustkowie. Jest to profesor Fryderyk Menszel, który prawdziwie ducha się nie boi. Postanowiwszy koniecznie go ujrzeć, znakomity uczo-ny zwiedził z kolei prawie wszystkie straszące miejscowości, jak zawsze z jednym skutkiem: nigdzie ani śladu ducha nie spotkał...

Profesor zdaje się wątpić chwilami, czy wobec dużego materiału osobistych doświadczeń, ma je-

szcze obowiązek wierzyć w istnienie duchów wogóle, czy już może ma prawo kategorycznie zaprzeczyć ich istnieniu! Zastanawia się czasem, czy nie są one bodaj tylko symptomem szczególnej choroby wyobraźni, pewnej ostrej „zarazy moralnej“, która dotknęła ludzkość w silnej formie? Lecz to, co czyta codzień i co słyszy od innych, skłania go (jak to sam potwierdza w pewnym interwiewie) znowu do tem gorliwszych dociekań.. Lecz w ciągłych tych, zawsze daremnych dociekaniach swoich, sam zdaje się bliskim jakiejś manii — szukania, czego nie stracił.. Czasami wpada w szał, w wściekłość na te niedorzeczne istoty, chwilami znów zaczyna o nich wątpić. Ludzkość ze drżeniem śledzi przejścia, stany wewnętrzne i biegi myśli genialnego profesora, bo jeśli w kim, to chyba w nim tylko pokłada swe główne nadzieje.

Była jasna noc księżycowa -- wśród ruiny pewnego opuszczonego zamczyska błądził profesor. Co robił?... Wywoływał duchy. A robił to z całym ogniem prawdziwie palącego miłością dla wiedzy umysłu. Już wypróbował z kolei, a bezskutecznie, wszystkie sposoby znane poważnej nauce, i nie spostrzegł się wcale, jak w zapędzie szalał, zapomniawszy o swej uczonej godności. z naukowej metody przeszedł do metody niegodnej jego stanowiska. Zaczął wykrzykiwać z zapalem wulgarne zaklęcia, świętokradcze bluźnierstwa, brednie zabobonu, właściwe w ustach popolitych znachorów ordynarne zamawiania, jakie

tylko posłyszał od niańki, lub znał z folkloru, lub z głupich bajek dziecinnych, włączając w to jeszcze całe słowniki nader dobitnych wyrażen z języka przekupek miejskich i marynarzy. Nareszcie, kiedy to wszystko nie odnosiło skutku, doprowadzony już do ostatecznej pasyi:

— Abrakadabra! — ryknął, porwawszy się za włosy — Abrakadabra!... A gdy i na to echem tylko odpowiedziały posępne glazy zwaliska, tupnął nogą z wściekłością i brutalnie splunął. Wracając następnie do domu, już prawie całkiem pewny, że duchy — to urojenie chorych albo głupich ludzi...

Jakież było zdumienie jego — a przyznać trzeba, że i jakiś nieznaną dotąd przestrah go obleciał, gdy, zastawszy drzwi mieszkania swego, które był na klucz zamknął, otwartemi, wszedł do sypialni i ujrzał... W samym kącie pokoju stała przy ścianie wysoka postać w bieli, z twarzą szkieleca, świecąca przez jamy oczne i zęby, słabym fosforycznym blaskiem.

Mistyczne mrowie przebiegło po kości pacierzowej uczonego i uczył on, że włosy mu powstają na głowie.

— Ktoś ty? Kto jesteś? — wybąknął głosem z trudnością wydostającym się z gardła.

Postać milczała.

Ze strachem uczonego zmieszana była również wielka radość. „Więc duch nareszcie“! — i szybko sięgnął po nieodstępny aparat fotograficzny. „Ale“ — pomyślał sobie — „przekonam się

wprzód jeszcze lepiej: jeżeli to duch, kula przejdzie go nawskróś i nic się złego nie stanie, a jeżeli nie duch, to też przeszyje na wylot“.

I wydobywszy rewolwer, złożył się do strzału.

— Mein Schatz! — zrzucając maskę i prześcieradło, odezwał się z kąta głos przestraszony. — To ja, Gretchen! Przyszłam ci zrobić niespodziankę, a ty mnie chciałeś zabić!...

---

ROZDZIAŁ VI.  
AMBASADY ZAŚWIATÓW.

---

Przez kilka dni następnych nie było widocznie ważnych nowin w gazecie. Staruszek mi nie nie czytał i nie nie opowiadał. Siedząc na uboczu, zmęczony bardzo i wyczerpany, nie interesował się naszą rozmową — i wcale nie klócił się z babką. Kobiety chwilami poglądały nań z współczuciem i niepokojem, jak gdyby z troską o stan jego zdrowia, poczem porozumiewały się spojrzeniami, którym towarzyszył ów charakterystyczny uśmiech pobłażania, występujący na ich twarzach przy każdym dziwaczniejszym zachowaniu się dziadka..

Widząc jednak spokojną, kataleptycznie niemal zastygłą postać jego i wzrok utkwiony w przestrzeni, nie mogłem nie zrobić uwagi, że dziadek nie tyle chyba był znużonym i wyczerpanym co zamysłonym bardzo... Oddany cały jakiejś pochłaniającej go myśli, wpatrywał się w nią uporczywie i sam się nią hipnotyzował..

Nareszcie zerwał się z niezwykle ożywieniem, i jakby prowadząc dalej dopiero co przerwana rozmowę:

- Wie pan, że one się fortyfikują?... zawołał.
- Kto taki?
- Duchy.
- Duchy?... Gdzie?... W jaki sposób?...
- W ruinach! Niechno pan posłucha:

„Ruiny -- są ulubionem miejscem ich pobytu. Od dawien dawna każde prawie znaczniejsze zwaliska posiadały swe własne widmo, które ukazywało się pod tą lub ową postacią — stosownie do siły wyobraźni i umysłu osoby, która miała je ujrzeć. Są to jakby ambasady zaświatów, pilnujące swych praw idealnych w potężnem mocarstwie ziemi. Być może więc teraz, z powodu niedotrzymania przez ludzi jakichś tajemnych traktatów, uznały za stosowne te niepojęte a władne zapewne istoty wtargnąć gremialnie na ziemię i przeprowadzić na niej po swojemu porządek.

„Zaczęły postępując tak (jak to wojska czynią, wkraczając na nieprzyjazne terytorium, zanim przyjdzie do walnej bitwy) od opanowania pewnych strategicznie najważniejszych punktów. Zajęły przedewszystkiem to, co nie służyło już do ludzkiego użytku. Utwierdziły się mocno w starych, rozpadających się w gruzy zamkach, w opuszczonych klasztorach, w ruinach kościołów lub pogańskich świątyn, — a im bardziej zwaliska te są starożytne, zapadłe i malownicze — tem nieprzystępniejsze uczyniły z nich twierdze.

— Niech pan tylko posłucha, jak stopniowo odbywa się okupacya:

„Amatorzy sensacyjnych wycieczek w noc księżycową w takie właśnie malownicze miejsca, nczuli się naraz zmuszeni odmówić sobie tej poetycznej rozrywki. Wszyscy dopatrzyli się tam obecności czegoś „niedobrego“, co zdawało się nawet niebezpiecznym i groźnym. Kilku śmiałków, nie sobie z tego nie robiących, przypłaciło obłąkaniem lub śmiercią ze strachu swą zbytnią odwagę. Wytworzyła się opinia, że nawet w bardzo licznym towarzystwie nie warto oglądać zwalisk w nocy.

Później zauważono, że nawet za dnia coś w nich podejrzanego się dzieje...

Turyści, zwiedzający wszelkiego rodzaju historyczne zabytki i piękne okolice, znani są z tego, że lubią włączyć na szczyty wałujących się średnio-wiecznych baszt, a przynajmniej na same wierzchy ich sterczących jeszcze pozostałości... Otóż statystyka wykazała, że ilość nieszczęśliwych wypadków wśród turystów wzrosła. Panowie ci zaczęli naraz kręcić karki, spadając ze starych gruzów — i to coraz częściej. W krótkim czasie stało się rzeczą niezaprzeczoną, że wdarcie się na podobną ruderę — grozi każdemu śmiercią. Ale nietylko włączyć na nie, lecz i zaglądać do wnętrza ruin, stało się ryzykownym w każdej porze doby. I tej niewinnej przyjemności ludzkość musiała sobie odmówić...

W końcu doszło do tego, że coś stanowczo już nie pozwala człowiekowi wejść w obręb takich zwalisk. Coś poprostu nie wpuszcza... Niema spo-



sobu dostania się tam już nawet w samo południe.

— A cóż się tam wewnątrz dzieje? wewnątrz ruin?...

Tego nikt panu nie powie, bo nikt tam nie zagląda. I tylko zewnątrz dają się spostrzegać objawy czegoś stanowczo nadprzyrodzonego...

W nocy, najczęściej między 11 a 12, poszczerbione, rozsypujące się gruzy powoli zaczynają się ożywiać. Zębate oblamy okien wypełnia blade światło. Na szczytach wież zakwitają kolorowe ogniki i uszu wystraszonego wędrowca dochodzą nadpowietrzne śpiewy, nic z brzmieniem głosów ludzkich wspólnego nie mające.

Czasami wionie z nich niby fala tchnień tajemnych — drżący wiew, pełen woni niewiadomych roślin, i na zwierciadło rzeki lub na strzechę pobliskiej chałupy opadnie lekki puch kwiatów, ziemi nieznanych, bladych i świetlistych, jakby rozkwitłych na księżycu, kwiatów, które z nadzieją ranka topnieją i nikną... Czasem powonie smuga mgławiczna, szeroka i bujająca — rozpęknie się rojem niebieskawych gwiazd... Czasem ze smugi takiej wyłonią się całe chóry białych postaci i girlandami rusalek zatańczą po łąkach, lub sznurem białych łabędzi poszybują w przestworza...

Wszystko to dzieje się, rzec można, w obrębie posiadłości duchów, w zakresie zaczarowanego koła, które z każdą dołą się rozszerza.

A okolicznym mieszkańcom śnią się podówczas niesłychane rzeczy... Potęga mar sennych, kosztem trzeźwości myśli, niezmiernie się wzbogaciła i wzmożła. Jednych stale trapią ohydne, dzikie zmyry, innych słodkie i błogie nawiedzają obrazy, przechodzące niekiedy w pełne grozy wizyje...

Częste są tajemnicze zjawy podczas czuwania w nocy. Czasami w nowomodnym zegarze ściennym zagra prastara kurantowa melodia, lub w kącie da się posłyszeć szelest przesuwającego się po pościeli węża...

Na jakąś dziewczynę, zdradzoną przez ukochanego, z sufitu spadły przesłiczne, pełne rosy i woni wiązanki srebrnych konwalii, rzekłbyś zesłane z jakichś zaświatowych ogrodów, przeniknęły dach, ażeby obsypać swą wonną białością jej głowę i piersi i kolana.

A dzieciom, dzieciom, tym najczujniejszym istotkom, co się nie roi i nie majaczy, mój Boże! Co chwila wyciągają ręce ku czemuś, czego niema, uśmiechają się pełne uszcześliwienia, lub, rozszerzywszy trwogą oczy, wpatrują się w jakiś kąt ciemny, poczem długo się trzęsą jak w febrze i żałośnie płaczą.

Po ścianach i po suficie coś jakby chodzi wieczorem, niby ów „Baj“ słowiański, wlokący „łapcie“ za sobą. Czasem padają cienie od osób, których niema w pokoju, czasem nie pada cień od osób tam się znajdujących.

Zresztą trudno jest wyliczyć wszystkie sposoby, jakimi dają znać o sobie duchy, tak rozma-

cie przejawiające się w snach, złudach, przeczu-  
ciach, ostrzeżeniach, głosach zaziemskich i mate-  
ryalizacyach...

— Tak, panie — rzekł wkońcu do mnie tonem  
głębokiego przekonania. — Duchy świat zagar-  
niają!...

— A ludzie ciągle opuszczają swe domy i ucie-  
kają od nich?

— A uciekają.

— No, wprawdzie, uśmiechnął się, tak źle znowu  
nie jest. I niby chcąc mnie pocieszyć, tajemniczo  
dodał:

— Są pewne dane do sądzenia, że nie wszyscy  
żywią niechęć do tych „wrogów społeczeństwa“.  
Niektórzy nieopuszczają swych mieszkań, mimo po-  
jawienia się tam duchów. Nie zlekli się i znale-  
źli jakiś z nimi *modus vivendi*, co chowają w ta-  
jemnicy.

Podobno duchy zresztą nie złego ludziom nie  
zrobują, i mają nawet czasem pomagać głównie  
w sprawach natury moralnej. Ułatwiają pracę,  
leczą, uspokajają, a nieraz znoszą i pieniądze... Ale  
zaśmiał się — radzę pannę nie zadawać się z nimi,  
bo ludzie by nazwali pana zdrajcą...

— A w jaki sposób zaskarbia się ich łaskę?

— W bardzo prosty. Zostawia się, z myślą  
o nich, w pustym pokoju, na noc, trochę niedo-  
jedzonej strawy. Pali się lampki oliwne lub świece  
z ziemnego wosku. Przy wychyleniu kieliszka  
zlewa się na podłogę parę kropel wina... Wszystko  
to z myślą o umarłych. Stare pogańskie zwyczaje,

prawda panie? śmiał się zagadkowo... Śpiewa się piosnkę dla nich ułożoną lub spełnia się na ich intencję jakiś dobry, chociażby drobny uczynek. Oderwanym istotom tym nie mającym wcale praktycznego zmysłu, widocznie wystarcza to jako baracz .. ironizował dziadek.

Kto wie!... zamyślił się dłużej, może jakimś wielkim bobaterskim czynem zjednałoby się ich jeszcze skuteczniej... Kto wie!... kto wie!..

Bo widzi pan, duchy nikogo krzywdzić nie chcą, chcą raczej obłaskawiać ludzi.

Tu dziadek wy dostał z kieszeni swój nieodstępny dzienniczek i czytał z prawdziwym zapalem:

„O współżyciu ludzi z duchami opowiadają niestworzone rzeczy. Oto na przykład: Jakaś starszka, mieszkająca samotnie w małej leśnej chałupie, kiedy bywa chorą i sama nie może napalić w piecu i zagrzać strawę, wyręcza się duchami w tych niezbędnych czynnościach. Narąbia drzew, napala w piecu i podeprą belkami wałącą się chatę.. Jakaś rodzina co żyła ciągle w krzyżującej o pomstę niezgodzie, od chwili, gdy „duch“ się pojawił w domu, trwa w idealnej harmonii.., Licbwiarz opauowany przez spirytyzm, oddał biedakowi niesłusznie zagrabiony majątek... Zazdrośnemu mężowi, gdy się zamierzał sztyletem na nieszczęśliwą małżonkę, złowrogie widmo jakiegoś powstrzymało morderczą rękę jak w Biblii Anioł Abrahamowi. Podobno -w wiosce jakiejś, w której gospodarzą duchy, kradzież nie istnieje, ani oszustwo, tak dalece, że wójt zawiesił swe urzędowe

czynności i ożenił się z córką najuboższego zagrodnika. Wszystko to stało się pod urokiem tej jakiejś niewidzialnej i fizycznie nieodczuwalnej władzy, która tam nagle zapanowała...

Tak powiadają...

„Zdawałoby się, jeżeli to wszystko jest prawdą, że spirytyzm może działać niekiedy nawet i do pewnego stopnia dodatnio pod względem etycznym. O, strzeżmy się, przedewszystkiem, dobrodziejstw naszych przeciwników! „Timeo Danaos!...“ Bo jeśli w istocie duchy działają tak „pojednawczo“, to znaczy, że gdyby świat się zżył z nimi, sędziowie staliby się niepotrzebni!... Ku czemu więc zmierza ta idealność pozorna chytrego nieprzyjaciela? Oto ku czemu: ku uniepotrzebieniu sądów, a więc i żandarmeryi, a więc i obowiązującego porządku!...: ku podkopaniu autorytetu władzy, wyrzuceniu na śmietnik ustaw, kodeksów, praw wyjątkowych, administracyjnych rozporządzeń, więzień prewencyjnych i nieprewencyjnych, wojen, szpitali wariatów, tych wszystkich podstaw najświętszych naszej krwi bratobójczą okupionej cywilizacji. Narody, strzeżcie skarbów swoich, czuwajcie!“

— Patrz pan! Świat wasz zaczyna już rozumieć całą grozę położenia.

„Wobec niebezpieczeństwa, wiszącego jak miecz Damoklesa nad narodami, wszystko, co tylko jest dzielniejszego i ożywionego prawdziwym patriotyzmem, zerwało się wreszcie z uśpienia i nawołuje do energicznej walki.“

„Oto co uradziły panie:

„Związek wyzwalających się kobiet wystąpił z pełną ognia odezwą — do wszystkich serc czułych i szlachetnych. Wyrzucając mężczyznom ich gnuśność, nawołuje do szybkiej akcji obronnej i ostro piętnuje brutalną napaść najeźdźcy na byt i spokój biednej ziemskiej ludności“.

„Liczne stowarzyszenia akademickie ogłaszają gromkie protesty...“

— A oto ciała uczonych zwołują walne sejmy.

„Wszystkie związki lekarskie i kluby (mimo wyraźnie sprzeczne interesa) połączyły się razem. Na wielce burzliwym posiedzeniu ostatniem, jednogłośnie uchwalono rezolucyę, orzekającą, że każdy lekarz, pod karą usunięcia z korporacyi, ma z całym poświęceniem oddać się badaniu tej grożącej epidemii, która, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, powstaje z trupów“.

— Słuchaj pan dalej:

„Środki zapobiegawcze zastosowano z niezwykłą energią. Usiłuje się umiejscowić zarazę. Zarządzono najściślejsze kwarantanny...“

— I t. d., i t. d. — mruknął starszek, szybko przewracając dziennik. Lecz tu są jeszcze inne środki. Otóż ma pan:

„Postanowiono ścigać z całą bezwzględnością wszelkiego rodzaju indywidua, podejrzane o utrzymywanie z duchami stosunków i sądzić takowe jako zdrajców stanu. Przywrócono prowizorycznie karę śmierci, zwracając ją głównie przeciw tak zwanym „medyom“. Niestety, podniecony prowo-

i męt leżał na nim i senliwością swą zacadzającą gnębił.

Przed sobą miałem książkę z „księżycowej“ biblioteki starszka, otwartą przypadkiem w polowie. Zacząłem czytać:

„Jeżeli prawda, że światło dochodzi tak wolno, to ileż na niebie widzimy upiorów — widm pozostałych po gwiazdach, których już niema w wszechświecie?

„Jeżeli prawda, że światło dochodzi tak wolno, to iluż słońcom olbrzymom wzrok nasz zaprzecza istnienia, słońcom, które przez wieków miryady setnym królują kosmosom, a które zaświecą w przyszłości i ziemi... i może naszym potomnym... i może jutro nam samym...

„Jeżeli prawda, że światło dochodzi tak wolno, to życie nasze obecne może jest bladym upiorem tej prawdy jakiejś słonecznej, która przebrzmiała i zgasła gdzieś przed milionami wieków...

„Jeżeli prawda, że duch — to niewolnik przestrzeni“...

Ale zmierzch zaczął zapadać. Mżenie deszczowe odezwało się głośniejsz, zawodząc cichem szlochaniem, przypominającym skrzypce. Spojrzałem w okno. Zachód już mdał. Wśród porudziałych przestworów gasła ostatnia zorza, już zgasła prawie — lecz jakby zalewana ulewą, naraz gęstszymi zadymila zmierzchami — i prześwieciła się znowu przez akwaforty dachów i nagich gałęzi — i znowu zamarła — i jeszcze raz się zatliła — i znikła.

„Jeżeli prawda, że światło dochodzi tak wolno“... — powtarzałem bezmyślnie ustami — „jeżeli prawda, że duch to niewolnik przestrzeni“...

Odłożyłem książkę i poszedłem szukać Leony, która już o tej porze mogła pokończyć zajęcia koło gospodarstwa.

Usiadłszy, jak zwykle, przy kominku oboje — jedno obok drugiego, z roztargnieniem wpatrywaaliśmy się w płomień. Była jakaś znużona i ociężała, jakby zasłuchana w przeciągły szum sloty, albo w syczenia zapalających się zwolna gałązek suchego jałowca, któremi stale zasycala ognisko.

Milczeliśmy długo.

— Wie pan — odezwała się wreszcie półgłosem, jak gdyby sama do siebie — pewna jestem, choć nie wiem czemu, że przez ten cały czas, co tu siedzimy, mieliśmy literalnie jednakowe myśli. To jakby jeden i ten sam łańcuch wyobrażeń przeciągał ktoś równocześnie po pańskim i po moim mózgu?

— Doprawdy — rzekłem, zaskoczony przyjemnie, sądząc że zamierza dotknąć tematu naszej miłości. Więc przyszła stosowna pora.

— Przed chwilą właśnie — ciągnęła tymże tonem — pan myślał o wieczornej gwieździe... o gwieździe pasterzy... a potem wyobraźnia pańska pobiegła na pustynię za karawaną Arabów... następnie przypomniały się panu ognie cyganów w stepie... i wtedy spojrział pan znowu w kominek...

W rzeczy samej tak było, miałem te przelotne myśli, lecz tak przelotne i blade, że gdyby mi



w parę chwil później to powiedziała, mógłbym ich nawet sobie nie przypomnieć.

— Ale o czym ja myślałem w chwili, gdy pani mi zadawała pytanie? Czy pani też miała wtedy tę samą myśl, którą ja miałem?

Popatrzyła na mnie z uwagą.

— Wtedy myślałam o tem, co mówiłam — rzekła.

— A jednak... chciało mi się koniecznie nakierować rozmowę... Lecz drzwi od narożnego pokoju skrzyknęły i wszedł dziadek.

— Żona jest trochę zmęczona — powiedział podając mi rękę — i nie pokaże się dzisiaj...

Następnie usiadłszy przy małym stoliku w drugim kącie pokoju przysunął lampę z zielonym daszkiem i zaczął oglądać jakąś starą miniaturę, przez cały ten wieczór prawie wcale nie odzywając się do nas.

Nie mogłem dalej prowadzić rozpoczętej rozmowy.

Milczeliśmy.

— To bardzo stary ten nasz dom. Już teraz, podobno, takich nie budują — przemówiła Leona. — A ponieważ drzewo się rozsycha, więc czasem można pomyśleć, że się on skarży na swój wiek i na ciężkie losy... On garbi się, jak staruszek, pochyla się, osuwa, i staje się jakby coraz mniej szym na zewnątrz. Ale we środku doprawdyż ciągle ogromnieje. Czasem, gdy siedzę po ciemku sama w swoim pokoju lub tu przy kominku, doznaję wrażenia, że ściany rozsuwają się w nie-

skończoność... Wie pan, co powiem: on, ten dom cały daleko większy jest w swych rozmiarach — te wszystkie razem pokoje i korytarze — niż miejsce, które zajmuje w przestrzeni... Aż chce mi się czasem zmierzyć i porównać długość ścian wewnątrz i zewnątrz, lecz boję się tego próbować, bo jestem zupełnie przekonana, że mnieby przeraziło to, co bym z pewnością wtedy musiała stwierdzić.

Bo też pan niema pojęcia, ile na górze jest u nas pokoi; trudno uwierzyć, gdzie się to wszystko mieści. Zaprowadzę tam pana kiedy...

O, jest coś w starych domach niezawodnie — ciągnęła, wpatrując się w ogień — jest coś dziwnego, nieokreślonego... Zwłaszcza o takiej porze, przy jesiennej słońcu, w ciszy przerywanej wiatrem, zawodzącym w kominach. Ściany się może paczą, więc nic dziwnego, jeśli wydają głosy... Ale czasem i meble się poruszają i zagadają do siebie... o starych, dobrych czasach. Ot! Słyszysz pan? Brzękła sprężyna w tym fotelu... Ktoś może w nim właśnie usiadł... Czasem coś stęknie lub nagle zaskrobie pod klamką, to w zamku gryzie rdza, ten szczur na żelazo... Słuch ludzki bywa czasem niemożliwie czujny... Powiadają, że ślepi z urodzenia mają słuch tak wrażliwy, iż nim prawie widzą...

Zastanowiła się chwilę.

— Czy pan kiedy uważał, co mówią krople, spływające z rynny? — Czasem, gdy w samotności zasłucham się w szmer ich monotonnego ka-

pania, a wiatr na dworze zaszumi, to jakiś wiew nagle powieje ze wszystkich kątów pokoju... ko-bierce się zlekka uniosą... dom zadrży... i zakotłują dokola, jakby oddechy czyjeś, jakby się przeszłość obudziła naraz z westchnieniem, i już się miała odezwać (ja często doznaję tych wrażeń), więc wówczas w myśli zapytuję siebie: czy zaraz na prawdę nie obudzi się ona? czy zaraz nie stąpi po posadzce? — nie zakrzatają się wszyscy, co tu żyli i poumierali, czy nie zaroją się chodząc, czy nie zagwarzą ich głosy?... I włos mi się jeży na głowie od tajemnego drżenia...

A kropla wtedy, spadająca z dachu, kapnie nagle głośnie, i wyszepcze: tak! — w odpowiedzi na moje pytania...

— One wyraźnie mówią — dodała z uśmiechem: — tak, tak! — tak! — tak, tak!...

Bo gdyby wnikać w głosy jesieni, to wszystko przemówi do nas ludzką mową. Naprzykład to drzewo w kominku wyraźnie woła: „puść mię!“ Nicch pan się tylko przekona.

Nie mogłem odróżnić żadnego wyraźnego słowa w skwierczeniu dogorywających gałązek. Natomiast zdało mi się, że zaskrzypiała podłoga i ktoś przeszedł po niej cichą stopą...

— Lecz słyszę kroki — rzekłem zatrwożony — ktoś przeszedł środkiem pokoju...

— I ja je słyszę — już dalej teraz — raz — dwa — trzy... Ale to tylko złudzenie. O, znam tu dobrze podobne stąpania, stukania, włóczenia nogami... A gdy ten pokój jest pusty, to słyszę

czasem, przebiegając koło drzwi, że tu ktoś wyraźnie przestawia meble. Tak, wtedy, gdy nikogo w nim niema...

— A teraz nam może się zdawać, że to, co miga po ścianie, że to są cienie jakichś postaci, idących od drzwi ku dalszym pokojom...

— Zupełnie, jakby dużo gości tędy przechodziło...

— To cienie naszej wyobraźni...

„Za oknem cicho mży...

Na martwe liście mży...

A w domu słyhać skargę niemych rzeczy,

Żal spaczenia i rdzy.

Głos taki obcy, taki nie człowieczy,

Nagle cię w trwogę pogrąży...

Drzwi skrzypną... przeszłość jęknie...

Tak... Tak...“ \*)

Staruszek kaszlnął. Spojrzałem w jego stronę, lecz go nie było w fotelu — kończył kaszlnięcie w innym rogu sali. Odwróciłem się — i tam go nie widziałem również. Siedział znów na swem dawnym miejscu.

— Pan mi tyle nadzwyczajnych rzeczy naopowiadał, że teraz zaczyna mi się w oczach двоić. Zdało mi się właśnie w tej chwili, że pan znajdował się jednocześnie w dwóch miejscach, lub jednocześnie w żadnym.

Uśmiechnął się z lekkim zadowoleniem i błysnąwszy ku mnie okularami:

---

\*) Wiersz z rękopisu Ksaw. Pusłowskiego.

— Więc czas się panu pokłócił z przestrzenią — rzekł. To nic. Pan wie, że czas i przestrzeń nie istnieją...

— Tak, niby z pewnego filozoficznego punktu widzenia — ale...

— Czas i przestrzeń to głupstwo — to urojenie...

— Ale czy możemy sobie wyobrazić, by coś się dzieć mogło poza czasem i przestrzenią — zauważyłem nieśmiało.

— O, dzieją się tam różne rzeczy — rzekł, poważniejąc — i dodał zwykłym tonem: Nawet gazetka, którą czytujemy z panem, ma swoją redakcyę w jednej z takich właśnie miejscowości...

Uśmiechnąłem się na to — i zamilkłem, bo w tejże chwili okulary staruszka znowu błysnęły ku mu, lecz z wyrazem takiej powagi, że się zupełnie zmięszałem.

I znowu pograżyliśmy się w ciszy. Leona recytowała wiersze nieznanych poetów. Chwilami zniką nam z przed oczu przestrzeń i czas przestawał istnieć... Chwilami błysły straszne okulary dziadka...

Chwilami coś zakołatało nagle i strach nas przeniknął tajemny — to może tylko serca nasze uderzyły głośniej...

Chwilami gdzieś szmer jakiś rozległ się niepokojący — to może tylko krew szybciej zakrążyła w tętnach...

Niekiedy drgnęła w drzwiach od wiatru kłamka... lub pacząc się głucho zagderały meble...

I znowu cisza zapanowała tak wielka, że można było z łatwością rozpoznać, jak niezręcznie udaje zegar, ukrywający się gdzieś w szczelinie muru mały kołatek.

A ślota znowu gniewniej zaszumiała wiatrem i gęściej zapadały krople deszczu — jak gdyby na wszystkie nasze trwogi i niepewności chciały odpowiedzieć: Tak!...

Ogień już dawno zagaśł na kominku.

— Czy jeszcze nie ustala ta ślota? — odezwałem się i podszedłszy do okna, przyłożyłem twarz do szyby. — Jak ciemno!

Chociaż było ciemno, dostrzegłem jednak na dziedzińcu, tuż pod oknami, cień stojącego człowieka i poznałem w nim mężczyznę w filcowym kapeluszu.

— Kto to jest ten człowiek — z niepokojem rzekłem do Leony, co tam za oknem stoi, mknąc na deszczu?

— Gdzie? jaki — zawołała z pewnym zniecierpliwieniem w głosie... E! co pan mówi! Nikogo tam niema wcale. Niema żadnego człowieka.

I w rzeczy samej, nie było już tam nikogo. Mogło mi się przewidzieć... Ale wrażenie strachu, którego doznałem w tej chwili, mocno utkwilo we mnie...

Mijały dni za dniami w tem zaciszem i odludnem ustroniu. Piękność Leony, oryginalność jej dziadków, fantastyczne książki z „księżycą“ i jesz-

cze fantastyczniejsze opowiadania o rzeczach niepodobnych do wiary, niemożliwe depesze i artykuły gazetki, wyglądającej na dziennik jakiegoś klubu spirytomanów, wychodzący „po za czasem i przestrzenia“, t. j. chyba w szpitalu, lub tylko w wyobraźni samego staruszka, ten waryat jakiś moknący na slocie, ponury i tajemniczy — to wszystko razem, z początku dziwaczne i uderzające, podobne chwilami do snu rozkosznego lub bezsensownej bajki, chwilami do zmory męczącej i nieodstępnej, tak trudnej do odpędzenia, że aż się wkońcu przestajesz jej bronić — to wszystko wprawilo mnie w stan dziwny zamętu i zamięszania, jakiego doznaje chory podczas gorączki pełnej halucynacyi. Przestałem już prawie zastanawiać się nad dziwacznością mego otoczenia. Straciłem jakby zmysł stróżowania na pograniczu prawdy i złudzenia. A jeśli czasem budził się we mnie krytycyzm, to jak u chorego na krótko, nie jasny i łatwo podatny chwytającej go za łeb chimery... Coś było w tem podobnego do wspomnień Leony — fantazyje wplotły się w rzeczywistość i nie mogłem rozplątać tych powikłanych węzłów.

Przychodzi mi na myśl tu jedno może z najpiękniejszych jej dziecinnych rojeń.

Zdało się jej kiedyś, kiedy była tak małą, iż podczas zimy nie wypuszczano jej z domu, że widziała przez okno, jak strzechy wiejskich chat osypał ktoś szmaragdami; myślała, że to złota wróżka, ulitowawszy się nad dolą ubogich ludzi, zsyłała z nieba te skarby na ich nędzne domy.

Dziwiła się tylko, że ludzie tych skarbów nie spieszyli zbierać...

I nic dziwnego — nie były to wcale szmaragdy — były to tylko chryzolity mchu na rozmokłej słomie strzech, które oświecało słońce...

Może więc to cudotwórczy urok szczęścia i miłości, które promieniowały ze mnie, oblewał wszystko dookoła tą fantastyczną luną?...

Być może... nie chcę przesądzać. Dostyc, że było mi nad wyraz dobrze w tym zagadkowym dworku, gdzie nawet pleśń moich smutków zamieniała się w szmaragdowe mchy - chryzolity marzenia.

---



## ROZDZIAŁ VIII.

### ZAZDROŚĆ.

---

Ale dla kogo Leona wiąże wieńce z nieśmiertelników? i od kogo dostaje codzień te blade, bezwonne, ale świeże zupełnie róże?

To chyba była jedna z zagadek, które najbardziej pochłaniały moją uwagę. I przyznać się muszę, że przy myśli o tych kwiatach doznawałem chwilami niemilego uczucia, uczucia, którego wstydzilem się zawsze, a dziś tembardziej, gdy wszystko jest dla mnie jasnym i wytłómaczonym. Mgliste, nieśmiałe podejrzenie jakieś — ten kielek przebijającej się w duszy zazdrości — ukuło mnie nieraz trwożnym zaniepokojeniem. A to, co spostrzegalem w dziwnym chwilami zachowaniu się ze mną Leony, tembardziej jeszcze zaostrzało moje wątpliwości. Nie chciała poruszać w rozmowie pewnych rzeczy, tych właśnie, które mnie obchodziły najbardziej, a za poruszeniem ich z mojej strony, wyraźnie niecierpliwiła się, albo wprost przerywała rozmowę i potem przez pewien czas była rozstrojoną i zamyślała się smutnie. A kiedy zdołała wyczytać z mej twarzy zmar-

twiojej te podejrzliwe myśli — patrzyła na mnie już obojętniej, a nawet z pogardą pewną i wyrzutem.

— Wstyd panu!... — mówiła głosem jakimś zgaszonym.

A ja nierozumiałem — dlaczego?...

Lecz kto mógł być tym człowiekiem, jeśli w istocie był taki ktoś inny, posiadający jej miłość?

Pewnego dnia już o dobrym zmierzchu, pełen takich właśnie myśli, wracałem z samotnej przechadzki; dziewczyna dnia tego, wyjątkowo, wymówiwszy się jakimś nagłym zajęciem, nie towarzyszyła mi. Pierwszy śnieg świeży i nietrwały, jak wiersze ulotne, przyprószył dość gęsto lasy i doliny, i leżał na dachach zabudowań białym kapturem nadchodzącej zimy. Była to chwila łudzająca, gdy wieczór, który już zapadł, wydaje się wciąż jeszcze tylko zmrokiem — z powodu światła od śniegu i blasków, które, rzecz można, wydaje zimno rozlane w atmosferze. Zawracając ku wrotom, widziałem z oddalenia Leonę stojącą pod krzyżem przydrożnym w towarzystwie jakiegoś mężczyzny, i prowadzącą z nim ożywioną rozmowę. Mężczyzna coś jej przekładał o coś widocznie prosił, następnie ukląkł przed nią i porwawszy ręce, przyciskał je do piersi i pokrywał gorącymi pocałunkami. Poznałem tego człowieka: był to ów właśnie nieznamy w czarnym płaszczu i filcowym kapeluszu. Zazdrość szarpnęła mną dzika, bezmyślnie skiero-

waleń ku nim kroki, sam nie zdając sobie sprawy, po co to robię, lecz po chwili, opamiętawszy się, zawróciłem szybko i podążyłem do swego mieszkania. Dochodził mnie tylko gwar ich rozmowy; kiedy powiał wiatr w moją stronę, posłyszałem słowa Leony, wypowiedziane dobitnie i z siłą: „nawet i po śmierci“...

Następnie widziałem, jak szybko szła przez dziedziniec wzruszona i, ominąwszy mnie, śpiesznie wbiegła na ganek.

— Więc to ten — rzekłem, wchodząc do siebie i czułem, że krew cała zbiega mi się do serca... to on!...

Wieczorem, gdym szedł na kolację, ujrzałem znów tego człowieka. Wyraźnie zmierzał ku mnie szybkim krokiem i nie zdołałem dojść do ganku, gdy zagroził mi drogę.

— Panie — przemówił głosem źle hamowanego wzburzenia. — Proszę o chwilę rozmowy. Mam ważną rzecz panu do powiedzenia.

Miał wyraz prawie furyata. Sam wygląd, brzmienie mowy i jeszcze coś szczególnego, co było z jego postaci, czyniło go prawie złowrogim...

— Nie rozumiem, doprawdy... w jakiej sprawie?... Tembardziej, że nie mam przyjemności...

— Muszę koniecznie z panem się rozmówić... i to zaraz!... Musi pan mnie wysłuchać, koniecznie — wymówił twardym, ale łamiącym się w gardle głosem, a oczy jego, we mnie utkwione, zatliły się jakimś demonicznym ogniem...

— Doprawdy nie wiem... w jakim celu pan mnie napastuje — odrzekłem ostro i ruszyłem naprzód. — W tej chwili czekają mnie tam — dodałem, wchodząc na ganek.

— W takim razie wyznacz mi pan widzenie się dzisiaj, koniecznie zawołaj za mną... Odpowiedziałem milczeniem i nacisnąłem klamkę.

— Dziś o dwunastej w nocy — u pana w oficy — słyszałem ostatnie jego słowa.

Nic nie odrzekłszy, wpadłem do sieni, jaknajprędzej starając się zamknąć drzwi za sobą... a czułem, że ręka mi drżała... i serce biło jak młotem.

Ale milczenie — jest znakiem zgody.

Zastałem Leonę też jakąś nie swoją, rozstrojoną, smutną. Milczała, odwracając się często odemnie, chowając oczy, na których dostrzegłem różowe ślady — łez.

Znalazłszy chwilę stosowną, ostro spojrzałem jej w oczy i zapytałem:

— Jak się nazywa ten pan, co tak ciągle krąży koło domu i często zagląda w okna?

Drgnęła nieznacznie i zbladła.

— Dlaczego pan się pyta o niego?

— Bo mnie — ciągnąłem, patrząc wciąż jej prosto w oczy — bo mnie zaczepił teraz na dziedzińcu — żąda rozmówienia się ze mną, choć ja go nie znam zupełnie... Ledwo się go pozbyłem...

— To niech pan z nim nie rozmawia — odcięła oschle, z grymasem niezadowolenia — kiedy go pan nie zna...

— I chciałbym panią zapytać — jeżeli można — o jeszcze jedno — niezbity z tropu nalegałem dalej — czy ten pan nie bywa u państwa w domu?...

— Skądże pan może wiedzieć, że tu nie bywał? Ale co znaczy to zapytanie?

— Bo... dziś, wracając z przechadzki widziałem, że pani prowadziła z nim bardzo ożywioną sprzeczkę...

Milczała przez chwilę.

— To bardzo źle — rzekła po chwili surowo — to bardzo brzydko z pańskiej strony.

I znowu nastąpiło milczenie.

— To bardzo niesłusznie — dodała z wymówką. — Jakże pan może być takim! Pan przecież wie to, co trzeba panu wiedzieć...

A gdym nastawał dłużej z zapytaniami:

— Nie — przerwała surowo — proszę więcej o tem nie wspominać...

Nie rozmawiałem z nią już tego wieczoru.

Nie bez pewnego zadowolenia zrobiłem teraz znów spostrzeżenie, że Leona w istocie nie ma wcale ładnych rysów. Rad byłem, żej w jej postaci całej nawet nic osobliwego niema. Lecz niebawem rozczuliłem się tylko bardziej tą uwagą: tak, powiedziałem sobie, istoty prawdziwie piękne natura zbroi niekiedy w ów pozór „nieładności“, za który się cofa głęboki urok ich duszy, przed płaskim natręctwem żądy.

Na odchodnem, żegnając się zimniej niż zwykle, zauważyłem, że natomiast uścisk jej ręki

był dłuższy i cieplejszy... Tyle mi tylko dała wyjaśnienia w całej tej sprawie.

Milczenie jednak jest naprawdę znakiem zgody...

Kiedy już miałem się rozbierać, otwarły się szybko drzwi mego pokoju i ukazał się w nich nieznajomy. Nie zdejmując kapelusza, wszedł i zbliżył się do mnie. Wzrok prawie obłąkany, posępna, trupiej bladości twarz, w niej wyraz dzikiego bólu i usta prawdziwie sine — nasuwały myśl, od której — nim przybysz mówić zaczął — przebiegł mnie dreszcz mistycznej trwogi.

— Przeszedłem rozmówić się z panem. Proszę mi powiedzieć, z łaski swojej, dla jakich powodów pan tak długo bawi w tym domu?

— A to szczególne pytanie? Jakim tytułem pan mi je zadajesz?

— Tytułem tym, że mnie goszczenie pańskie tutaj nie po-do-ba się! Rozumie pan — rzekł wyzywająco.

— Ale kto pan jesteś?

— Jestem tym, który przyszedł pannę to oznajmić.

Widocznie waryat — pomyślałam sobie.

— Pan musi stąd wyjechać zaraz!

— Jeśli pan nie zechce powiedzieć, kim jest, to niechże znam przynajmniej pańskie żądanie?

— Jakto, pan nie wie? — wycedził z niedowierzaniem. — Ja kocham pannę Leonę — i ona musi należeć do mnie!

— To bardzo dobrze — wzruszyłem ramionami. — Lecz co to mnie może obchodzić...

— Więc pan stąd musi wyjechać. Wyjedź pan! — zawołał głosem gniewnym. — Ja żądam tego od pana!

— Nie, panie, nie wyjadę — rzekłem ze stanowczością. — Skończmy już tę rozmowę...

— W takim razie — jęknął — a twarz jego wykrzywiła się dzikim wyrazem prawdziwie potępiącego bólu, wzrok zaś stał się strasznym, jak oczy wilkolaka — w takim razie — i zbliżył się, zaciskając pięście, z wyraźną chęcią rzucając się na mnie.

W tem kaszlnął z głębi pokoju Sebastyan, który tam znalazł się nagle.

— Czy pan czego nie żąda — zapytał wyprostowany.

— W takim razie... zobaczymy!... — dokończył groźnie mój napastnik, który, spostrzegłszy obecność drugiej osoby, umitygował się zaraz. Nasunął kapelusz jeszcze bardziej na oczy i wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

— Nie! Nic! — odrzekłem. — Dobranoc Sebastyanie! .

Zostawszy sam, drżałem cały jak w febrze; nie pod wrażeniem awantury samej, lecz z powodu czegoś, czego określić nie mogłem, ogarnęła mnie jakaś tajemnicza groza.

Ale widocznie nie kocha Leona, jeżeli szaleje tak ten nieszczęśliwiec? — pomyślałem, uspokajając się zaraz. Lecz co ma znaczyć to wszystko

razem, zachodziłem w głowę, napróżno usiłując rozwiązać zagadkę.

Wkrótce jednak nastąpiła znów zgoda z Leoną. Dobroć jej, swoboda i serdeczność usunęły szybko resztki nieufności, która jeszcze chwilami odzywała się we mnie. I stała mi się ta dziewczyna jeszcze bardziej drogą. Nieznajomy zazdrośnik już nie napastował mnie więcej i już mi się nie pokazywał na oczy. Zachodziło jednak coś, w czem podejrzewałem go o zemstę, choć zemstę bardzo niewinną. Coś zaczęło mnie w nocy straszyć; to on widocznie, chcąc mi dokuczyć, platał te, zresztą nie groźne, figle. Ktoś przez całą noc chodził pod memi oknami: czasem stanął i zastukał w szybę, a kiedym wyjrzał przez okno, nie widziałem nikogo... Czasem jakiś śmiech dziki dochodził z podwórza... Czasem rozlegały się, raz po raz, pistoletowe strzały... Wyraźnie straszono mnie, by przyspieszyć mój wyjazd — a o to posądzałem nieznajomego.

Raz tylko na przechadzce z Leoną ujrzałem, jak mignął zdaleka i schował się za stodołą, a ona znowu przesłała mu zwykły blady znak powitania i znowu mgła smutku prześlizgnęła się po jej twarzy.

— Ten człowiek — rzekłem — znowu się czai za nami.

— E, co to panu zawadza — ucięła.

Dziewczyna miała znów w ręku wieniec z nieśmiertelników (ale od dłuższego czasu nie widziałem róż przy staniku). Przechodząc koło



krzyża, przy którym odbywała się właśnie rozmowa z nieznajomym, opuściła wieniec ostrożnie, nic nie mówiąc i starając się zrobić to niepostrzeżenie dla mnie.

Nic jej nie powiedziałem, ale zawrzało mi w duszy! To jakiś znak znowu. Umawiają się, pewno, porozumiewają kwiatami — ukrywając przedemną swe schadzki...

— Czemu pan nic nie mówi?

Milczałem, trawiąc w sobie gorycz.

— Czemu pan taki wzburzony? — pytała z niepokojem, patrząc mi w oczy, głęboko.

— Nie jestem wcale wzburzony — odrzekłem głosem fałszywym. — Tylko przypominam sobie, że już zbyt długo korzystam z uprzejmej gościnności pani i jej krewnych.. Już jutro muszę wyjechać.

Popatrzyła na mnie długo i uważnie, lecz nie odrzekła.

Więc mnie najwidoczniej nie kocha — szepnąłem. — Nie kocha!... O jakże się czułem nie-szczęśliwym, zrozpaczonym, zgnębionym. Postanowiłem natychmiast przerwać tę szarpaninę zbyt-czną i, skwitowawszy z niepotrzebnych złudzeń, wyjechać niezwlekając.

Gdyby kochała mnie, powiedziałem sobie, nie zajmowałaby się tym człowiekiem i ze mną postępowałaby inaczej.

## ROZDZIAŁ IX.

### WOJNA.

---

— Na coś się poważnego zanosi... Alarmujące wieści... Wzburzenie umysłów straszne... Zbiera się, oj, zbiera... — przemówił do mnie staruszek z wesołością.

— Na co się zbiera?

— Na burzę oczywiście... To wrzenie po gabinetach, ten niebывały zamęt, powszechne zbrojenia mocarstw... A głównie te niepokojące zjazdy monarchów, którzy, jak głosi wieść niedowiary, na ten raz mają podobno radzić o „duchowych“ sprawach... To wszystko wiele daje do myślenia... Lada chwila wybuchnie....

— Co wybuchnie?...

— I pan się jeszcze nie domyśla?

Nie domyślałem się wcale.

— A cóżby innego, wojna — rzekł — i sądzę, że nawet prędko.

Zapanowało milczenie.

— Jacy to dziwni są ci ludzie — odezwała się babka — prowadzą wciąż wojny i wojny, jak gdyby nie mieli nic lepszego do robienia. Ale

pan jest dziś jakiś smutny — dodała, nie patrząc na mnie — pan niezdrów?

— Smutny, bo młody — rzekł dziadek — jak będzie w moim wieku, to się przekona, że nie masz nic lepszego nad dobry humor.

— Naprawdę, trochę mi smutno — odpowiedziałem. — Tak mi tu jest dobrze u państwa, jak pewno nigdzie nie będzie, a jednak muszę stąd wyjechać.

— Czemu? Kiedy pan chce jechać? — zapytała staruszka.

— Jutro, muszę koniecznie.

— Więc panu nie tak jest znów u nas dobrze, jak pan mówi — zauważył dziadek.

Protestowałem, tłumacząc konieczność wyjazdu zaniedbanymi już nadto interesami.

— Niechże się pan nie spieszy; już i tak pan się spóźnił, można i jeszcze zwlec trochę. Doprawdyż nie warto tak uciekać — mówił przyjaznym tonem.

— Nie warto — dodała staruszka.

Leona milczała.

Spojrzałem na nią. Siedziała pochylona nad kanwą, zajęta rozplątywaniem filofosów. Poczawszy mój wzrok, uśmiechnęła się z lekkim przymusem.

Dziękowałem starszkom za ich gościnność, lecz w duszy miałem niezłomne postanowienie wyjazdu.

Dość nudno schodził ten wieczór. Ja gryzłem się w sobie i poilem goryczą. Leona uporczywie milczała. Staruszka znowu popadła w zwykłą

drzemkę. A udawałem tylko, że słucham zajmujących opowiadań gospodarza.

— O! jaki świetny nekrolog — zawołał — wyjąwszy z kieszeni gazetę. Lecz pana to nieobchodzi — dodał, przebiegając ją szybko oczyma.

— A widzi pan, widzi pan — po chwili zwrócił się znów do mnie. Stanowczo nie może pan jechać.

— Dlaczego?

— Ani mowy być nie może o wyjeździe; gwałtem pana zatrzymujemy przez wzgląd na pańskie dobro. Jakżebyśmy mogli pozwolić panu narażać się na takie niebezpieczeństwa!...

— Czy coś się stało nadzwyczajnego?

— A tak! mobilizacya... wojna!...

— Jaka wojna? z kim?...

— Koalicya wszystkich mocarstw europejskich.

— Lecz przeciw komu?

— I pan się jeszcze niedomyśla. Przeciw duchom. Zażarta wojna ludzi z duchami. Już ogłoszono w manifeście... Nie może pan jechać żadną żywą miarą.

— Boby jeszcze wzięto pana, broń Boże, za szpiega — wytłómaczyła, ocknąwszy się z drzemki staruszka.

— Mniejsza o wojnę — spokojnie odezwała się Leona, i wstawszy podeszła do mnie. Ależ pan nie wyjedzie? prawda? — zaczęła prosić. Czego się gniewać? Przecie panu jest dobrze z nami — dodała ciszej — nieprawdaż?

— W takim razie — odrzekłem również cicho — zgoda!

Dziadek tymczasem skwapliwie czytał dziennik. Po chwili znowu zawołał:

— Ot ma pan, już rozpoczęto kroki wojenne. I nic dziwnego, cierpliwość musiała pęknąć, bo duchy rozszerzając ciągle zakres swych zaborów, do takiej w końcu doszły zuchwałości, iż poważyły się targnąć na zbyt wielkie świętości... Zajęły kilka twierdz pierwszo i drugorzędnych na lądzie i jedną fortecę morską, stanowiącą chlubę mocarstwa. Za pojawieniem się strachów załogi ponuciekały w panice, a chociaż je podzięsiątkowano, nie odstraszyło to bynajmniej duchów od dalszych zaczepk.

— Jakże będzie prowadzoną ta wojna? pytałem.

— Bardzo zwyczajnie, jak każda. Nie inaczej. Bo widzi pan — ciągnął — duchy zbyt wiele już sobie zaczęły pozwalać... Póki działały jeszcze we właściwej sferze, na umysł ludzki, zdobywając, że tak powiem, terytorya wyobraźni, stany duszy i jej władze, póki siedziały w ruinach, bo przecie im tego prawie niebroniono... I potem jeszcze, gdy odbierając ludziom domy, wtrącały się tylko do spraw natury prywatnej, znoszono to cierpliwie, wyczekiwano, co dalej będzie... Lecz kiedy zaczęły się mieszać do „polityki“ w waszem „poważnem“ tego słowa znaczeniu — to nie przelewki...

Forteca, panie, to — punkt honoru cywilizacji... Z tem żartów niema! Widzi pan, że nie omyliłem się w przewidywaniach... Wojna!...

— Lecz jak ją mają prowadzić ludzie? w jaki sposób?

— To się okaże, jaki ich plan.

— Ale jaką bronią walczyć z takim nieprzyjacielem?

— Tą samą, co i z ludźmi...

— Strzelają będą do duchów?

— Naturalnie, strzelać. A cóż pan myślał?...

— Nie mogę tego zrozumieć. Cóż znaczą kule wobec duchów?

— Może nie wiecie znaczą...

— Więc ludzie już potracili rozумы?...

— Dlaczegoż? Rozumują logiczniej, niż pan przypuszczał. Nie sądzi pan chyba, że z armat strzela się tylko do ludzi... Wytacza się działa i przeciw daleko lotniejszym istotom i z dobrym skutkiem, naprzykład przeciw szarańczy... I nie tylko przeciw szarańczy, bo i przeciw czemuś jeszcze trudniejszemu do opanowania: zapomocą dział rozpędza się chmury gradowe. Więc artylerią posługujemy się i w wojnie z burzą, z wiatrem, z obłokami; dzięki niej zwyciężamy żywioły. Nie dość tego. Wiemy przynajmniej, co to są żywioły. Lecz za pomocą armat uśmierza się to coś, co jest zupełnie niezrozumiałem dla lojalnych umysłów, np. rewolucye... Za pomocą dział obraca się w niwecz idee wolności i sprawiedliwości... A od pojęcia idea do pojęcia „duch“ już chyba dość nie trudne przejście... A? jak pan sądzi?... Już teraz może wyda się panu mniej chimerycznym ten chłopski rozum człowieka: w je-

dnem „bij“! cały się streszcza... Ale to nic — dodał z uśmiechem; — czasem przegrywa się i najwალniejsze bitwy...

— Spojrz pan, zawołał nagle, podbiegając do okna, jaki olbrzymi kometa! aż jasno na dworze!

— Niewidzę, rzekłem, szukając napróżno po niebie, chociaż w istocie na dworze było nieco widniej, niż zwykle bywa o tej godzinie wieczorem.

— Ależ tu, pokazywał, całe pół nieba zajmuje! Taki snop ognia ogromny. Jaki jasny i straszny zarazem! Ale leci widocznie z niesłychaną szybkością, bo ogromnieje co chwila...

Leona, na znak dany przez babkę, podeszła do okna, aby podziwiać zjawisko...

Ja niewidziałem nic...

— A, zapomniałem panu powiedzieć, rzekł starszek, ten kometa już pięć tysięcy lat temu był przepowiedziany przez ksytyjskich Magów. To mi byli astronomowie!... On tylko muśnie naszą atmosferę i zsadzi garść swego prochu...

— Ja go wcale niewidzę... wyszeptalem zdziwiony...

— A my widzimy, odrzekł z dumą dziadek.

I długie nastąpiło milczenie. Staruszkowie znowu usiedli w swych fotelach. Leona ciągle stojąc przy oknie przyglądała się widocznie zbliżającemu się komecie... Było już bardzo późno.

— No, czekajmy jutrzejszych nowin, rzekł dziadek. Dobranoc!

Co się nie działo ze mną tej pamiętnej nocy. Nie mogłem myśleć o spaniu. W stanie gorączki

i zamieszania zastanawiałem się bezładnie nad niesłychanemi nadzwyczajnościami, wśród których znalazłem się tak odrazu, i które mnie porwały w swe rozhukane wiry. Czulem, że jeśli nie zdołam wydrzeć się ich przemocy, to utracę świadomość istotną rzeczy.

Co się stało ze mną? Co to wszystko znaczy? Co za najście duchów na ziemię? Skąd? W jaki sposób? Co za bajki bez sensu, którym ulegam łatwowiernie, jak dziecko? Gdzie jestem wreszcie? W śnie? czy w obłądnie? w halucynacjach dziadka? chory na jego manię?!... Co za wojna z duchami?!... Co myśleć o tem wszystkim?!...

Był to ostatni bunt zdrowej świadomości przeciwko dziwnym fantasmagoryom, któremi jak taranami walono w mój rozsądek. Wkrótce uspokoiłem się, uległszy ich rujnującej mocy. Wydało mi się to wszystko prostem i naturalnem — tak jak śpiącemu, który się wcale nie dziwi, że może latać pod obłokami w towarzystwie heraldycznych gryfów lub spierać się o wymawianie litery *h* ze smokiem z apokalipsy. Raz hydrą taką napróżno usiłowałem przekonać, że po polsku się mówi *hamuj zapędy*, nie zaś *chamuj zapędy*, jak to uporczywie twierdziła... Cała fala rozbukanych fantazyj, których jak gdyby echem była tajemnicza gazeta, nabrała w oczach mych wagi niezaprzeczonych faktów, dziejącej się za dni moich wielkiej, wszechświatowej historii. Zasnąłem wreszcie, ale snem niespokojnym, rwącym się, gorączkowym. Byłem cały pochłonięty wojną. Widzia-



łem dymy pożarów, łuny i pogorzeliiska, pola usiane trupami, od kruków czarne, kałuże krwi, obdzieranie umarłych i cały bezwstyd uznanego mord. Widziałem zastępy dziczy zbrojnej, plujące w siebie najświeższymi zdobyczami wiedzy i złorzeczące wyciem dział, furye jakieś stutysięcznogłowowe, usiłujące się zagryźć do szczętu, drażniące się wzajem wywalczonymi językami sztandarów, kłujące się igłami bagnetów, lub sprośnie „pokazujące tyły“... Widziałem sceny tortur, szubienice, więzienia, zamglone śniegi sybirskie, i katy z nahajami, i kibitki, i wszystkie owe potworności „plemienia Kaina“, któremi wytykał poeta niestarte i wciąż odnawiające się piętno na chmurnem czole ziemi...

A potem widziałem kometę szybującego przez kosmosy — ten wóz błyskawicowy, który przewozi po planetach duchy — to nieco „prochu“ wieczności, podług wyrażenia staruszka. Widziałem, jak się zatrzymał zsadzając je na ziemię.

„Więc wojna! wojna!“! wyszeptalem, zrywając się nagle. Zbudziły mnie jakieś oddalone huki, jakby odgłosy wleczonych ciężkich wozów... Otworzyłem oczy... Było nieciemno w pokoju... Przez okno wpadało dziwne, miedziano-żółte półświatło, rozlane po całym niebie... ...Świat kąpał się w łunie jakiegoś kosmicznego pożaru...

„To kometa stanął przy naszym globie!“! pomyślałem w trwodze... ✓

Od dworu doszło rzenie końskie... Niespano tam... Przy ganku stały dwa osiodłane bachma-

ty... Z ganku wychodzili właśnie jacyś dwaj mężczyźni, jeden w mundurze polskiego legionisty, drugi w stroju cywilnym z ośmnastego wieku...  
✓ Gospodarz ich odprowadzał i cicho o czemś mówili...  
Pożegnali się... Wsiedli na koń i pocwałowali z szybkością.. „Więc przejeżdżają tędy“...

I znowu zasnąłem. I znowu mnie zbudził huk oddalony i wrzawa... Odróżniałem to w szumie co chwila zrywającego się wiatru. To armia jakaś potężna przeciągała w bliskości... Lecz huk ten jednocześnie dochodził i z dołu i z góry, i jakby z wielu stron naraz... Zdawało się, że i po ziemi i pod ziemią i po obłokach odbywają się owe przemarsze... Na dworze wciąż było widno od złowieszczej łuny. Ogarnęła mnie jakaś bogobojna trwoga; popadłem w stan podobny do tego, któremu ulegają ludzie nerwowi przed burzą, gdy wiele w powietrzu zgromadza się elektryczności... To pewno jakieś straszliwe siły skupiają się w atmosferze... Lada chwila nastąpi ich złowrogi wybuch...

— Kto to byli, zapytałem nazajutrz staruszka, ci dwaj co w nocy przejeżdżali tędy?

— A widział ich pan? rzekł uradowany.

— To był przyjaciel mój z lat dziecińczych, generał Kniaziewicz; wpadł mnie odwiedzić, bo wojska szły okolicą. A z nim był Pestalozzi,  
✓ szwajcar...

Nie zdziwiło mnie wcale, że to był Kniaziewicz. „Więc jeśli i on bierze udział w wojnie,

to chyba po stronie duchów!“ pomyślałem sobie...

— O, mówił dziadek, mamy już pierwsze potyczki. Sprawiają się szybko.

I czytał mi i robił uwagi. A ja karmiłem się wrażeniami wojny przez wiele dni następnych. A co dzień zachodziło coś niezwykłego w tej niesłychanej kampani...

Oto w streszczeniu parę główniejszych epizodów.

Powszechny „Związek Wojny z Duchami“ nie czekając na dalsze kroki nieprzyjaciela, rozwinął energiczną akcyę. Wszystkie mocarstwa, podzieliwszy swe siły stosownie do ilości zagrożonych miejsc w każdym, zwróciły się zbrojnie przeciw nieproszonym gościom z zaświata.

Najwybitniejszą osobistością w tej znakomitej „krucyacie“ był generał Rezonalius, mąż żelaznego ramienia, prawdziwy znawca najnowszej sztuki wojennej. Sława jego, już rozbrzmiewała szeroko, a zawdzięczał ją głównie kilku zwycięskim utarczkom z dzikimi w Afryce.

Nie bez słuszności zatem on, nie zaś kto inny, otrzymał zaszczytny rozkaz, dosłownie: „oczyścić z niepotrzebnych elementów północno-wschodnią część środkowej Europy“. Tam bowiem największe groziły niebezpieczeństwa.

W tymże czasie admirałowi Surfasserowi polecono odebrać duchom pewną znaczniejszą twierdzę morską. O ile pamiętam, nosiła nazwę Omega.

Wyruszywszy na czele wspaniałej eskardy stanął admirał na odległości armatniego strzału. Rozpoczęto blokadę: wylapano i zatopiono parę kupieckich statków z towarem, zabrano kilka większych okrętów z podróżnymi.

Przez czas długi przyglądano się nieprzyjacielskiej twierdzy. Ta jednak najwyraźniej niedawała znaku życia...

Uradzono więc niespieszyć z bombardowaniem i zaczekać nocy, kiedy duchy stają się bardziej niż w dzień widzialne...

Już o 6 godzinie zapadła ciemność zupełna, a ledwo o 11 eskadra otworzyła ogień.

Nieprzyjaciel odpowiedział milczeniem. Nie wydał żadnego strzału. Czyżby tak prędko miał uciec?... W każdym razie nie było go widać i nie dawało się spostrzedz w fortach nic takiego, co by świadczyło o obecności tam załogi...

— Z pewnością forty są puste!...

Tem usilniej ponowiono ataki.

— Do diabła, mrukał admirał, pomimo tylu wyrzuconych pocisków, nie mogę dostrzedz śladu uszkodzenia fortów... Jak gdyby się bombardowało piernaty!...

Znowu zagrzmiała kanonada i znowu bez żadnego skutku.

Twierdza milczała, obojętna.

— Tam najwyraźniej nikogo nie ma, mówiono dookoła.

— Lecz kto połyka nasze kule armatnie?!... zastanawiano się.

Zbliżono się do niej bardziej i jeszcze gwałtowniejszą wszczęto kanonadę. Ale rzecz dziwna: kule stanowczo nie umiały trafić. Działo się coś nieprawdopodobnego: mijały najwidoczniej! Zbaczaly w prawo lub w lewo, i nie dochodząc do miejsca przeznaczenia, wpadały w morze, tuż obok pancerników, przedtem obleciawszy kilkakrotnie dokoła fortecy; lub nawet ledwo wypadłszy z paszcz ogniem ziejących, znikaly w niewiadomy sposób.

Ktoś kradł je, najwyraźniej!...

Niepowodzenie jednak tylko zagrzewalo serca walczacych do tem ostrzejszych ataków.

Nareszcie przynajmniej udało się „trafić“, lecz z jakże dziwnym skutkiem! Kule, uderzając o szanice, odbijały się od nich, i zatoczywszy w powietrzu dziwaczna elipsę, wracając, niosily się nad eskadrą, wykonywały najfantastyczniejsze krzyże, zderzały się z sobą, odskakiwały... i w końcu zaczynały wirować w coraz to szybszym ruchu, większe dokoła mniejszych, tworząc jak gdyby obraz kosmosu w miniaturze, a i rozpalone do białości, z szumem i pluskiem wpadały tuż przed okrętami w wodę.

Honor wojskowy nie pozwala cofać się nawet przed absolutną niemożliwością. Zaczęła się furja piekielnej strzelaniny, bezcelowej, waryackiej...

W końcu natarczywość ta zniecierpliwila widocznie niewzruszonego w spokoju swym przeciwnika.

Zauważono, że okręty zaczęły nagle zanurzać się głębiej w wodę. Zanurzyły się aż do pokładu i dalej szły powoli na dół, tworząc, w tem pogrążaniu się, nad głowami zdumionych marynarzy pustą przestrzeń powietrza, w kształcie dzwonu — jakgdyby ulanego z fal, z hukiem zwierających się ponad statkiem. Okręt osuwał się coraz niżej — aż stanął na dnie morskiem...

Ale zdumienie wszystkich jeszcze bardziej się wzmogło, gdy potrąwszy tak przez dłuższą chwilę na dnie, statek zaczynał znowu powoli wznosić się w górę, coraz wyżej, aż do samej powierzchni...

Tu już w obłędzie strachu panicznego zaczynało znowu bić z armat, z wściekłością trudną do wytłumaczenia — i okręt znowu zanurzał się w topiel, głęboko — i znowu również powoli wznosił się do góry...

Po paru takich zatonięciach, sternicy nie czekając na rozkazy kapitanów, zawrócili nagle, i cała eskadra, na łeb na szyję, uciekać jęła, przed straszliwą twierdzą, która stała nienaruszona, milcząca, groźna, bez żadnej oznaki życia, jak widmo, głucha, złowroga...

Na samym zaś przedzie najprędzej umykał największy statek admirałski, wiejąc swą piękną wielokolorową flagą.

Nie trudno wyobrazić, jak podziałać na umysły musiała wiadomość o haniebnej porażce potężnej floty związkowej, w bitwie, w której nieprzyjaciel niezużył żadnego ładunku!...

Nielepszy los spotkał i innych admirałów, wysłanych przeciw innym twierdzom. Najczęściej działo się tak, że przegrywano bitwy, niestacząc ich wcale; tracono okręty, nierozumiejąc w jaki sposób: gdyż nikt nie miał pewności, czy one zatoniły w wodzie, w odmetach lub też zostały porwane w powietrze i zagubione gdzieś ponad chmurami, może w sferach gwiazd i księżyców...

Tymczasem generał Rezonalius ze znacznymi siłami oblegał jedną z najniebezpieczniejszych twierdz ducha na lądzie: pewien bardzo starożytny i bardzo nieduży zameczek, leżący całkiem w gruzach — kamień na kamieniu.

Zwaliska te nie wznosiły się nawet na łokieć ponad ziemią.

Ujrzawszy coś tak nie groźnie wyglądającego, zdziwił się mocno generał.

— I ta garstka „starego śmiecia“ (jak je złośliwie określił) pretenduje do szumnej nazwy fortecy?! Co za awanturnicy — śmiał się — w podobnej kryją się dziurze!... To jeszcze coś zabawniejszego od polskiego powstania w 63 roku... No wówczas przynajmniej były jeszcze „lasy...“  
dodał ironicznie. ✓

— Tu niema w co mierzyć z dział — śmiali się oficerowie. — To już i tak jest doszczętnie zbombardowane! Staruszek Chronos odrobił za nas tę pracę...

— Wystarczy pół roty, by rozbić wszystko, co może się mieścić za tą kupką glazów...

— Lecz tam nic niema...

Gdy noc zapadła, puszczono rotę dla zdobycia ruin. Rota dotarwszy do miejsca przeznaczenia, musiała nagle stanąć. Zamiast garstki kamieni, zastała przed sobą wysoki mur, tak wysoki, że niesposób było wejść nań, żadną miarą. Obszedłszy go dokoła, a nieznalazwszy żadnego wylomu, musiała rota się cofnąć, i wróciła z niczem do obozu. Zdziwiono się w sztabie niezmiernie.

Posłano jeszcze rotę jedną i drugą, a następnie parę pułków z drabinami — i zawsze z niepomysłnym skutkiem: wojsko wróciło przejęte wielkim strachem

— Co za czary szatańskie! — zawołał guiewnie generał — i kazał bombardować.

Celne wymierzanie pocisków, mogące przynieść tylko zaszczyt jego świętnym artylerzystom, zdawało się, że osiągnie natychmiastowy skutek. I w istocie — żaden wystrzał nie chybił!

Ale niestety!.. Nie zdruzgotano nawet jednego kamyka, nietylko, że nie uczyniono wylomu.

Zagrano ze wszystkich dział naraz. Zadrzęsła się ziemia od ryku strasznych bateryj. W oddalonych o wiele mil wsiach i miasteczkach pękały szyby w oknach... Dym unoszący się w górę czarnymi obłokami już zakrył wszystkie gwiazdy, grubą swą warstwą, prochem pachnącą, oddzielając od ziemi niebiosy...

Po którejś wreszcie kanonadzie dał się spostrzedz rezultat. Ale o dziwo. Rezultat wręcz odwrotny!..

Zwaliska, zamiast się rozsypać w niwecz, wydały się jakby nieco wyższymi, niż poprzednio



były. Stanowczo wydały się większemi... A nawet, jak się okazało, straciły coś z charakteru ruin... Rozpadłe gruzy, zdały się zbiegać jak gdyby w trwalsze podłoża, wiekowe szczyrby i rozpęknięcia sklejać, goić, zasklepiać. Działa się rzecz niesłychana: zamek widocznie rósł, ogromniał! Za każdą nową kanonadą — stawał się o piętro wyższym... A dzikie niszczące ataki, jakby go kształtowały tylko, rzeźbiły styl jego świetniej i nadawały powagi... Ożywiał się, piękniał...

Nareszcie — dźwignął się w gmach niebotyczny, potężny, nieprzystępny. Strzeliły haszty pod chmury...

Jeszcze salwa — a z baszt wykwitnęły tęczowe wstęgi chorągwi — i powiewały zwycięsko — pod niebem — wysoko — aż tam, gdzie już zaczynają się gwiazdy..

Nieustający, mimo to wszystko, huk armat, rozbudził widocznie i mieszkańców fantastycznego zamku. Bo oto okna zaświeciły się blaskiem, migającym jakby od cieni tysiacych, poruszających się wewnątrz postaci. Girlandy róż się rozlały, po murach krużganki zagrały od różnokolorowych ogni... I łuna światła i barw uderzyła w ponure przestworza...

Gwary głosów, dźwięki muzyki, hałas radosnych wiwatów, okrzyki tryumfu i wesela, dolatywały do uszu przerażonych żołnierzy...

Do tego jeszcze zaszedł wypadek który do reszty zdemoralizował wojsko.

Właśnie o drugiej po północy wpadło do obozu kilku zdyszanych i prawie nieprzytomnych żołnierzy z patrolu, wysłanego w celu rozstrzelania szpiega. W samym początku walki, złapano jakiegoś podejrzanego indywiduum, z wyglądu bardzo mało przypominające człowieka. Gdy zaczęto je badać, na każde zapytanie odpowiadało tylko wybuchem głupiego, idyotycznego śmiechu. Był to szpieg najwyraźniej. Nie mogąc zeń nic wydstać, kazano go niezwłocznie rozstrzelać. Patrol, wyszedłszy za obóz, wykopał duży dół pod jakimś drzewem, do którego przywiązał szpiega i za rozkazem przywódcy dał salwę. Indywiduum żyło i w odpowiedzi na salwę z dwunastu karabinów, wybuchło dzikim, okropnym śmiechem idyoty. Oficer kazał podejść żołnierzom o kilka kroków bliżej i strzelić po raz wtóry. I znowu, odpowiedzią był śmiech idyotyczny, a taki groźny, złowrogi, że żołnierze wpadłszy w furję, zaczęli kłuć szpiega baguetami, zaś oficer przyłożywszy do skroni rewolwer, wystrzelał wszystkie naboje. A na to złowieszczy idyota śmiał się bez końca, coraz to bardziej dziko i nie po ludzku, wybuchając coraz to nowymi porywami piekielnej wesołości. Żołnierze, przeciąwszy sznury, którymi był przywiązany do drzewa, wtrącili go do dołu i żywego i śmiejącego się zaczęli spieszenie grzebać... Ale z pod ziemi odzywał się ciągle ten śmiech przerażający; ziemia trzęsła się i skakała nad ciałem zakopywanego... Wkrótce poczuli żołnierze, że i ich stopy zapadają się w ziemię. Za-

częli więc w zgrozie uciekać, grzęznąć jak w piaski chłonna, w grunt, a za nimi gnał aż do samego obozu straszny, złowieszczy śmiech idyoty...

Po tym wypadku nie mogło już być mowy o prowadzeniu dalszem oblężenia. Lecz rada wojenna postanowiła nie cofać się jeszcze, zaczekać do rana. Być może w dzień, gdy duchy będą mniej widzialne, staną się i mniej straszne... Czekano więc ranka w stanie niesłychanej grozy. W tem zauważono, że jakiś rzadki gatunek śniegu zaczyna padać na obóz. To wcale nie był śnieg żaden. To tylko tak gęsto jak śnieg, gdy pada ogromnemi płatkami, sypało się z nieba najzwyklejsze pierze. Już obóz cały był niem zasypany po kolana, a wkrótce wyżej i w końcu puchowa zadymka zaczęła grozić zupełnem zaniesieniem armii. Nie było rady. Nakazano odwrót.

Więc kiedy wojsko, znękanе i zawstydzone, ukazało się nad ranem w mieście, z którego wyszło, możemy sobie wystawić, jaka rozpacz ogarnęła wszystkich gorliwych partyotów na jego widok — na widok armii, rozbitej haniebnie w straszliwej jakiejś walce z... marnym puchem.

Ale kiedy z podobnym skutkiem, chociaż nie wszystkie w pierzu, wróciły i inne korpusy wysłane na nieprzyjaciela — wówczas opadły ręce i nieustraszonemu kierownikowi wojny — ...

— I jak się panu zdaje, zwrócił się do mnie, przerywając w tem miejscu opowiadanie dziadek: co to mogło spadać z nieba w takiej obfitości?... Nie był to ani śnieg, ani pierze zwykle — to

były strzępki z piór skrzydlatych Archaniółów, zranionych, ongi, w walce z Szatanami... I srebrne puchy te, dopiero dzisiaj doleciały ziemi...

Zdawałoby się, że nie może być mowy o dalszem prowadzeniu wojny. Strach okazał się tą potężną bronią w ręku nieprzyjaciela, wobec której nie stanowiły nic ani surowa dyscyplina, ani działa największego kalibru.

Jednakże ludy, w ciągłych rozprawach pomiędzy sobą, przyzwyczajone nieustępować łatwo po najkrwawszych nawet porażkach, nie mogły poddać się tak odrazu, nie mogły pogodzić się z myślą o haniebnej klęsce! Postanowiono prowadzić wojnę dalej i w gorączkowym pośpiechu przemyślano nad wynalezieniem nowych i skuteczniejszych sposobów walki.

Ojczyzna sławnego Menszla, owo potężne, do zwycięstw przyzwyczajone mocarstwo, znanemu było z niewyczerpanej swej pomysłowości. Był to najtęższy z narodów świata pod względem praktycznego urządzania się i umiejętności technicznych. Światłym więc synom jego należy się wdzięczność narodów za znakomity wynalazek, który mógł być się okazać zbawiennym dla ludzkości w epoce owej strasznej wojny.

Wiadomo, że wartość wojska polega na jaknajlepszym wymusztrowaniu, czyli na zdolności jego do wykonywania na komendę możliwie szybkich ruchów. Jest ono tem doskonalszem, im lepiej w każdym żołnierzu stłumiono wszelką myśl indywidualną, wszelkie osobiste uczucie. Krótko mówiąc,

ideałem jego jest być — jak najzupełniejszą maszyną. Chociaż pułki generała Rezonaliusa i innych, należały już pod tym względem do przednich, w ostatniej jednak kampanii wyszły w nich na jaw bardzo ważne braki.

Człowiek, nawet w szyku bojowym, mimo najsurowszego wyćwiczenia w posłuszeństwie, bezwzględного wtarcia się w rygor, jet zawsze bądź co bądź do pewnego stopnia człowiekiem. Nie będzie on nigdy ideałem pod względem sprawności wykonywania masowych obrotów; pod którym to względem, przewyższałyby go inne, zwinniejsze zwierzęta, naprzykład małpy.. Co do szybkości przemarszów to lepszymi byłyby wilki, puszczone w kadrach na głodno... Następnie, jako składające się z ludzi, więc z istot słabych i bądź co bądź żyjących, wojsko dzisiejsze jest zależnem od różnych nieobliczalnych warunków, od klimatu, pór roku, epidemii.. Ma pewne instynkta wkorzenione mocno, nie dające się wytrzebić, a te przy nieszczęśliwym zbiegu okoliczności mogą się stać odruchem masowo wręcz dezorganizującym, mogą wywołać panikę w najkrytyczniejszej właśnie chwili.

Znaleziono sposób usunięcia tych braków — z nowoczesnej armii. Zamierzono utworzyć armię z lepszego, niż człowiek, materiału, z żołnierza, który mieć będzie tylko same niezbędne jednostce zbrojnej zalety, a żadnej wady... ✓

Będzie to żołnierz-automat; żołnierz niestraszony i zawsze posłuszny rozkazom; żołnierz nie zdający pensyi, gotowy walczyć jeszcze bardziej

zadarmo niż zwykły żołnierz-człowiek, nie żądający jadła, napoju a nawet i umundurowania. Będzie prawdziwie wytrwały i niezmordowany. Będzie ślepy i głuchy na wszystko, co się nie tyczy jego jedyne go honoru i obowiązku.

Nie przestraszą go zatem i duchy.

A jakże łatwo będzie przewodzić armią z takich żołnierzy! Znając dokładnie topografię krajów, można siedząc najspokojniej w stolicy, za pomocą odpowiedniego przyrządu (rodzaj telegrafu bez drutu) przerzucać ją gdzie się spodoba, z wymaganą szybkością, bez potrzeby przeprowadzania kolei i liczenia się z wygodami drogi, gdyż wojsko samo swym maszynowym ciężarem będzie ją sobie torowało. Kierować da się działaniem jej z całą pewnością, bez zawodu i bez omyłki nawet o pół joty sekundy. Naciskać tylko klawisze w kierowniczym aparacie, podobnym z wyglądu do fortepianu lub zwykłej maszyny do pisania, nie więcej zresztą i skomplikowanym.

Zabrały się do pracy straszliwe miasta — fabryki, zagrzmiały potworne warsztaty, wyrabiające masowo, całemi tysiącami, straszliwych rycerzy-mankinów. Były to żelazne olbrzymy kilkumetrowej wysokości, przypominające wielkoludów, a raczej schematy ich, podobne do rebusowych rysunków, wyobrażających człowieka z literą lub cyfrą w miejscu głowy. Groźne automaty, umiejące poruszać się, zwierać, rozstępować, słowem wykonywać wszystkie potrzebne ruchy. Wyglądały jak fantastyczne kościotrupy legendowych tyta-

nów — całe ze stali i żelaza, choć mniej skomplikowanej od szkieletu budowy.

Dla groźniejszego wyglądu niektórym z nich nadano prawie dokładną postać ludzką przez ubranie szkieletów w średniowieczne zbroje.

I można sobie wystawić jak przy pierwszej mustrze tych świeżo skonstruowanych rekrutów, ziemia tętniała i trzęsła się pod ich spiszowem stąpieniem!

Taką to maszynową, wielotysięczną armią puszczono na podbój owej mglistej i oderwanej, a może, jak utrzymywał profesor Menszel — i całkiem urojonej potęgi — na podbój duchów...

Jak chmura z żelaza, jak nawałnica, olbrzymia, niepowstrzymana, waliła z grzmiotem błyskawic wykrzesywanych, za każdym krokiem z leżących po drodze głazów. Szła z takim pędem, że wiatr się zrywał, jak gdyby od stu tysięcy puszczonego naraz pociągów z lokomotywami. A huk był jeszcze straszniejszy. O wiele wiorst naokoło wydawać się mogło, że zrywa się trzęsienie ziemi.

Wieśniacy, trwogą przejęci, wybiegali z chat i szepcząc pacierze, przyglądali się tej niebywalej nawałnicy rycerzy. Mniemali, że to już skończenie świata i że Antychryst przychodzi na czele swych szyków.

Niektórzy zaś, w ciemnocie swej gotowi byli posadzić, że to są właśnie duchy, jak to czasem za duchów brano nawet i złodziei..

O ile gdzie stał dom, lub osada, lub nawet całe miasto, zapomniane w planie leżącym na

biórku przed kierownikami, (albo z głębszych świadomie przeoczone względów) — to groźne falangi zmiatały je, druzgotały, jak burza, w swym nieubłaganym pochodzie.

Nie było siły ludzkiej, mogącej się oprzeć tej kruszącej nawale.

Że też decydujące źródło tego huraganu, zawierało się nie w czem innem, jak w palcach ministra, który z łatwością grając na dowcipnej maszynie, przebiegał po klawiszach, przyczem sekretarz jego zapisywał dyktowane przez ministra cyfry i wyprowadzał równania.

Wysłane przeciw duchom, wojsko to wykonało, jak przewidzianem było z góry, z zupełną dokładnością wszystko, co genialni kierownicy uradzili siedząc o setki wiorst od pola działań wojennych w stolicy.

Szło więc tratując, druzgocąc wszystko, co napotkało na drodze, niezłomne, nie odparte, zwycięskie, póki miało do czynienia z ludźmi. Lecz gdy żelazne giganty wkroczyły na teren należący do duchów, to nagle zatrzymały się, zawały, stanęły. Widocznie taki szedł rozkaz z góry.

Ale oto — rzecz dziwna: postawszy czas jakiś, jakby w niepewności, co począć dalej, nagle wykonały pół obrotu w prawo — i krokiem uroczystym zaczęły obchodzić dookoła zwalisk. Obeszły je kilkakrotnie i zatrzymały się znowu... i najwidoczniej — musiało się coś zepsuć w tej wzorowej maszyneryi... Dosyć, że zaszła rzecz całkiem nieprzewidziana.



Oto potworne, puste wewnątrz, dzwoniące szczękiem żelaza szkielety — manekiny, ustawiły się zwartem kółem, i rzekłybyś na znak umówiony zagrzmiały w metalowe tarcze. Huk straszny wstrząsnął powietrzem; zadrżała ziemia, i cały huragan zrywających się jęków uderzył w przestwór nocy...

A jednocześnie puste zbroice zamigotały niespodzianem blaskiem. Głuche pancerze wypełniły się życiem, zatętniały naprawdę sercami. Czarne, trupie oczodoły hełmów zaświeciły się — z jam ich wyjrzały źrenice jarzące, dziwne, miotając w ciemność słupami strzelistemi ognia.

Nareszcie straszliwe wielkoludy, jakgdyby jeszcze bardziej ogromniejąc od tego życia, co w nich nagle zagrało, zdały się prawie niebotycznymi... Bo oto zaczęły zwolna unosić się w górę — coraz wyżej i wyżej... aż, jakby porwane huraganami owych jęków i chrzęstów, poszybowały w przestworza.

Pociągnęły gdzieś gromadami — w różne strony świata.

Podobne stadom kondorów pociągnęły krwawymi gościńcami dziejów — tam — gdzieś — ku wielkim cmentarzom bohaterskiej chwały... Więc tam — gdzie Kanny... gdzie Orlean... błonia Lombardy... tam — gdzie polegli bojownicy po śmierci jeszcze kończyli za życia rozpoczętą walkę... i tam — gdzie grzmiało Waterloo... i tam, gdzie — Grunwald i gdzie — Termopile...

I tam się zatrzymały — raz jeszcze stanęły w apoteozie dawnej bohaterskiej świetności — i nagle zgasły i rozsypując się w proch pozapadały w kurhany.

A jeśli który w tym odlocie gigantów, jak żóraw odbity od stada pozostał, opuszczony, to błędny szedł na wiatraki, porywał je w objęcia i całował się z nimi — aż w końcu legł podeptany ich drewnianemi skrzydły.

.....  
Gdy o tem mi dziadek mówił, zmienił się cały na twarzy; uśmiech ironii znikł, rysy się wyrównały. Głos jego dźwięczał donośnie i uroczyście. A wiotka postać starca wyprostowana i godna, jakby w natchnieniu, uderzała potęgą niemal posągowej miary.

---

## ROZDZIAŁ X.

### MENSZEL.

---

Było mi dziwnie dobrze. Pod wpływem rozmów z dziadkiem, zwłaszcza ostatniego wieczora, kiedy z prawdziwym zachwytem chłonałem słowa jego, zdawało mi się, że duchy zewsząd mnie otaczają, że wszędzie ich pełno...

Interesowałem się już tylko duchem i tylko duchami, poza których znaczeniem i wpływem przestały istnieć dla mnie wszelkie inne „polityczne“ kwestye...

Czułem, że jakby i w moją cielesną skorupę wstąpiła jakaś osobliwa siła lub istota, pokrewna tej, która jest zdolna ożywić nawet pustego manekina z żelaza. Wzrok mi się świecił radością od pragnienia wielkiego i wiary w szczęście, tak moje własne, jak i ludzkości całej.

W podobnym stanie umysłu wszedłem któregoś dnia, wieczorem, do saloniku dziadków. Zdziwiłem się bardzo usłyszawszy tam jakiś obcy głos. Zrazu przemknęło mi przez myśl, że to ów nieznamy, ten z rękami w kieszeniach i w filcowym kapeluszu, któremu zazdrościłem kwiatów od Leony, przyszedł nareszcie, by prosić o jej rękę.

Była to jednak postać całkiem inna.

Mężczyzna blisko czterdziestoletni, średniego wzrostu i dobrej tuszy, chciałbym powiedzieć „szczęśliwej tuszy“, bo tej, od której bije spokój, i dobrobyt. Twarz czerstwa, okrągława, o wyrazie swobodnym i bystrych przenikliwych oczkach. Włosy na głowie miał krótko podcięte, wąsy à la Wilhelm II ostro końcami podniesione do góry.

— Pan X. Y. Z., przedstawił, podskoczywszy już do mnie staruszek... pan doktor Menszel...

— Bardzo mi miło... kiwnął uprzejmie uczony.

— Doktor Menszel?... zawolałem.

Jakto?... być że może, by żywy człowiek powstał z mego kłamstwa?! Wszak ja go wymyśliłem — i takim właśnie przedstawiał się mej wyobraźni, jakiego teraz przed sobą widzę żywym, z ciała krwi i kości?! Podobne refleksye przelatywały mi przez myśl, gdy stałem zmieszany dziwnem istotnie spotkaniem... Zmieszany byłem tembardziej, że doktor utkwiał we mnie wzrok zimny i ciekawy, jakim spoglądają doświadczeni psychiatrzy na osobliwsze okazy waryatów...

— Pan jest profesorem? bąknąłem ochłonawszy nieco.

— Tak jest, rzekł uśmiechnawszy się niedwuznacznie, i jeszcze raz obrzucił mnie owem nieprzyjemnem spojrzeniem.

— Pan doktor — pospieszyła wyjaśnić staruszka — jest tak uprzejmy, że goszcząc u krewnych naszych w sąsiedztwie, raczył nas łaskawie odwiedzić.

Usiadłem w kącie z drugiej strony sali, wstydząc się trochę za moją niezręczność. Leona już tam była, dbając o ogień kominka. Profesor zaś wrócił do przerwanej przez wejście moje rozmowy.

— ...Tak, tu klimat nie jest dobry dla natur wiotkich, anemicznych... powietrze nie jest zbyt zdrowe (czulem, że mówi o Leonie, choć, mojem zdaniem, nie była ona bynajmniej anemiczną, przeciwnie, była świeżą i zdrową). Zwłaszcza ludziom nerwowym... nie radziłbym mieszkać w tych stronach... Krajobraz szary, posępny, pustka — to wszystko źle działa na usposobienie... Ja sam się czuję tutaj przygnębionym... I nic dziwnego — dookoła bagna, których niezdrowe wyziewy, szkodząc organizmowi fizycznie, mogą oczywiście szkodliwie wpływać i na umysł... na nerwy... naturalnie... Tak panie! dodał zachęcająco i z werwą: wyjechać stąd na kurację, gdzieś... może do Karlsbadu... nasamprzód do Karlsbadu... Żołądek, panie, jest gospodarzem, główną podstawą zdrowia; a tutejsza kuchnia, jak mi się zdaje, jest nieco anarchistyczna... Cha! cha! cha! śmiał się, polska kuchnia jest przewyborna, ale jest żywym odbiciem politycznego charakteru narodu... ma swoje *liberum veto* w postaci naprzykład kołdunów, barszczów, *et cetera*, nie pozwalające organizmowi trawić... Trawienie, to zbawienie — dodał zadowolony.

— Pan doktor ma zupełną słuszość — odezwał się dziadek, swym zwykłym, ironicznym tonem.

— Bo to może wydać się dziwnem, co powiem, ale żołądek jest przecie głową zdrowia: on myśli o niem, zapobiega i radzi (gdy sama głowa często zapomina o tym swoim starszym bracie). On ma niezmierne znaczenie!... Bardzo często też bywa źródłem i chorób myśli (gdy funkcjonuje niedobrze), bywa przyczyną przywidzeń, dziwactw... ba, nawet halucynacyj — tu doktor znowu spojrzał na babkę.

— A tak, odrzekła, nie odpowiadając na jego spojrzenie. Chociaż halucynacje i przywidzenia nie zawsze zależne są od trawienia... Tak mi się przynajmniej wydaje.

Po ustach Leony chwilami przebiegał uśmiech przelotny, zjawiający się przy śmielszych, pewniejszych sobie twierdzeniach profesora.

— Kto to jest taki? zapytałem, czy on istotnie nazywa się Menszel?

— Tak, doktor Menszel. Jest przysłany przez krewnych w celu dowiedzenia się o zdrowie dziadka. Dojeżdża tu co roku. Chociaż, nietyle im o zdrowie chodzi — w tej pieczołowitości... wie pan... zresztą nie warto o tem gadać...

Później dowiedziałem się, że rozchodziło się o jakieś kombinacje spadkowe — jak zwykle krewnym. Dokładnie nie pamiętam już, o jakie...

Dziadek był małomówny, i etykietalnie zimny. Widziałem, że nie lubi gości. Nic dziwnego. Menszel, podczas rozmowy przypatrywał mu się w ów właśnie nieprzyjemny sposób, jakiego ja na wstępie miałem szczęście doznać na sobie. Najwyraźniej

go badał; to oczywiście nie uszło uwagi staruszka, niecierpliwiło go i gniewało.

— Panie doktorze, przemówiła babka. Pan od czasu do czasu zagląda do nas, co jest nam bardzo miłym, gdyż korzystamy i z pańskich wizyt i z rad istotnie zbawiennych... Ale zdaje mi się, że pobyt pański w naszych stronach zawdzięczamy nie tylko samej praktyce lekarskiej, lecz i jakimś, innym jeszcze celom...

— A tak, czcigodna pani, odrzekł profesor istotnie, interesując się bardzo tym krajem, badam charakter ludzi, urządzenia, zwyczaje.

— Poziom kultury, wtrącił dziadek...

— Tak — kultury — w stosunku do innych krajów, cywilizowanych...

— Jakże się panu ojczyzna nasza podoba? zapytała staruszka.

— O! bardzo... tak, bardzo... No, trochę tu pusto i głucho, ale kraj piękny... duże bogactwa w ziemi, lesie i t. d., niewyzyskane niestety... Tu mogłoby być bardzo dobrze, gdyby wnieść trochę życia, podnieść to właśnie, co jest w zastoju zupełnym, gdyby wprowadzić...

— Coby pan uważał za stosowne tu wprowadzić, jakie ulepszenia?

— To co jest za granicą... Trochę przemysłu i handlu, kolei żelaznych, zakładów leczniczych — mówił Menszel niedbale, zasłaniając ręką ziewanie, to wszystko od czego zakipiałoby tu nareszcie życie. A przede wszystkim — dodał z ożywieniem, pozwalałbym te opleśniałe budynki, posta-

wił nowe, murowane, i ten domek bym przemurował, bo przecież nie długo już potrzyma stare drzewo. A pierwszą rzeczą moją byłoby poździeranie tych mchów osędziałych, tam, z tych zabudowań...

— O! twoje biedne chryzolity, Leono! cóżby się z nimi stało, z uśmiechem zawołała Babka.

— Szkoda ich poezyi!

— Poezya! poezya! — zaśmiał się Menszel szeroko. — Sentymentalność stanęłaby na przeszkodzie!... Wiedza, proszę pani, to jest potęga, ona to podnosi kraje i narody. Tak, tylko ona!

— A czy pan wierzy w spirytyzm? — zapytał nagle dziadek.

— Ależ panie? Jakżeż?!... pan mnie posądza o takie rzeczy!... Spirytyzm... Cha! cha! cha! Ja wierzę jedynie w naukę.

— A to pan pewno nie słyszał o ksytyjskich magach?

Menszel zrobił wielkie oczy.

— Nie... nigdy.

Tymczasem dziadek już wyszedł do swego pokoju i wrócił, prawie w tejże chwili, ze znanym mi albumem do wklejania wycinków.

— To pan nie słyszał o ksytyjskich magach? — rzekł znowu.

— Chyba o scytyjskich...

— Nie, panie, o ksytyjskich — poprawił z przekonaniem i zaczął czytać:

„Myśl ludzka — to nogi ducha, którymi obchodzimy dookoła zjawiska“.



„Wyobrażenia — to ręce ducha, wyciągające się w nieskończoność“.

„Lecz duch ma jeszcze i czoło i wzrok promienisty — którym jasnowidczo przenika tajemnice...“

— Jak się to panu podoba?

W odpowiedzi na to profesor zrobił minę, jak gdyby miał już dziadka za puls chwycić...

Chwilę wpatrywał się w niego, pokręcił głową i znacząco spojrzal na babkę, ta jednak uniknęła jego wzroku. Nareszcie szybkim, niespodziewanym ruchem, schyliwszy się za plecy dziadka, nagle zajrzał do albumu:

— Ależ! — zawołał — tam nie ma tekstu żadnego! Pan komponuje z pamięci!... Cha! cha! to wyborne! Tak z białej karty czytać!...

Na to staruszek odsunął się spieszenie i zamknął księgę. Siedział chwilę w milczeniu, potem wstał nagle i zabierając z sobą album, fajkę i nieodstępne pudło z tytoniem, wyszedł. Wyszedł tak szybko, iż zdawało mi się, że prawie znikł odrazn. ✓

Profesor bynajmniej nie zbity z tropu śmiał się jeszcze czas jakiś z zabawnego okrycia. Kobiety pochyliwszy głowy nad haftami, nieprzyjemnie dotknięte milczały.

Uznałem za stosowne skrócić niemiłą chwilę. Pożegnałem się i wyszedłem — udając się teraz sam na sam z doktorem i profesorem Fryderykiem Menszlem — wcielonym tworem mej płoczej wyobraźni, przez ciemne podwórko do oficj- ✓

ny, w której miał przygotowany tuż obok mojego pokój.

— Co za dzicz! co za dzicz! zawołał do mnie. Jak pan tu może wytrzymać? Długo pan tu bawi?

— Już od pewnego czasu.

— No, to podziwiam pana, doprawdyż, jabym tu skonał z nudów. A ludzie tutejsi — jakże pan ich znajduje?

— Bardzo są mili...

— Ach, wie pan, przyznam się otwarcie, że ja tego wcale nie znajduję. Choć mniejsza oto, ale takich dziwaków jeszcze nigdy w życiu nie widziałem. Ta stara sparaliżowana, może i nie zła kobiecina — ale to trup już przecie.

— A ta histeryczna dziewczyna...

Zaprotestowałem.

— Ależ, panie, histerya, histerya, w wysokim stopniu histerya!... — A ten zabawny starzec — to paranoik zupełny.

— No, machnął ręką, — nie chcą się leczyć, niech dogorywają... Tu cały kraj trzeba leczyć, nie tylko indywidua... Postępu, panie, postępu! oświaty! cywilizacji!... Wszak tu nic przecie nie ma; ciemnota i barbarzyństwo. Istotnie, piękne typy ci nasi gospodarze! E! co tam gadać zresztą, znów machnął ręką profesor. Wszak mówiąc szczerze — to już ich jakby nie było. Wszak oni właściwie już nie istnieją dla świata... Chyba ta dziewczyna... no, młoda jest i niebrzydka, gdyby nie histerya...

— Proszę pana — dodał na zakończenie rozmowy — przyjechałem tu w celu zbadania, jaki jest poziom kultury tego narodu — i przyszedłem do smutnego wniosku — jest bardzo niski... prawie zaden... Tak, panie, tu jeszcze kultury niema.

— Być może... — odrzekłem — kultury w pańskim rozumieniu... Lecz mogą być i inne na nią zapatrywania...

Na to uczony wzruszył ramionami.

— Bah! — rzekł na pożegnanie: dobrej nocy!

— Dobrej nocy — odrzekłem z niemniejszym naciskiem i znaczeniem: czyjś duch, z nas obu szamotał się w ciemności, niech noc mu będzie dobrą...

Już dnia następnego we dworku prawie nie rozmawiano o Menszlu, który odjechał ku uciecze powszechnej wczesnym rankiem.

Ten zgrzyt rzeczywistości praktycznej, jaki wniósł sobą profesor, w tem otoczeniu snów pełnem, przybrał charakter niemilej zmory, o której się niechce pamiętać.

Dziadek tylko nie mógł się powstrzymać od wyrażenia niechęci i parę razy ugodził w nieobecnego swą uszczypliwą ironią.

— A co — rzekł do mnie przy powitaniu — poznał pan Menszla?

Poznałem, niezawodnie.

— Tak wygląda człowiek, który ducha nigdy nie zobaczył.

— Ależ — zrobiłem uwagę — to nie ten znakomity uczony, o którym czytaliśmy w dzienniku..

— Zapomniałem panu opowiedzieć, mówił dalej, o zabawnym epizodzie z owej słynnej bitwy Rezonaliosa. Było to w chwili, kiedy na skutek zawziętych szturmów do zwalisk owego zameczka, mury jego się odbudowały na nowo. Przypomina pan sobie?.. Otóż wtedy taki był popłoch w obozie generała, że przez chwilę nie wiedziano co począć. Po długich naradach postanowiono nareszcie spróbować porozumienia się z duchami przez parlamentarzy. Lecz trudno było znaleźć amatora; każdy wolałby się dać rozstrzelać, niż podjąć się tak okropnej misji. Na szczęście był tam Menszel, (odkomenderowany do armii w naukowym celu), i on, jako niczego się niebojący, oświadczył się z gotowością pośredniczenia w układach. Menszel już wówczas zupełnie w istnienie ducha zwątpił i właśnie zjawiała się dlań dobra sposobność przekonania innych, że duchy — to urojenie. Z radością więc zabrawszy z sobą białą chorągiew, sam jeden puścił się odważnie ku tajemniczemu gmachowi, który przerażał tak całe wojsko, a którego on sam, mówiąc nawiasem, nawet przez lunetę nie mógł dojrzeć. Szedł więc ku owej garstce gruzów, znajdujących się w miejscu, gdzie opanowani przesądnym strachem żołnierze, widzieli gmach fantastyczny.

I rzeczywiście, dotarłszy tam, dzielny profesor nie znalazł nic ponad kupę kamieni. Stał przed

nią, przypatrzył się z całą uwagą, obszedł kilka razy dokoła, wszedł wewnątrz — i nie znalazł nikogo z kimby mógł pertraktować. Ruiny były puste. Z całą więc sumiennością sporządziwszy dokładny plan ich i zdjawszy fotografie, w niespełna godzinę, z tryumfem wracał do obozu.

Z prawdziwym napięciem oczekiwano tam jego przybycia. Lecz gdy profesor opowiedział to wszystko, co na miejscu znalazł: że to wcale nie niebotyczny zamek, lecz resztki gruzów, po jakichś istotnie bardzo starożytnych murach; że te gruzy są puste; że nie znalazł z kim prowadzić układów — to spojrzano nań, jak na waryata. Wszyscy przecie wyraźnie widzieli ów olbrzymi gmach, pełen światła i gwaru, który zwycięsko trwał w całej swej wspaniałości. Co więcej, nikt nie chciał wierzyć temu, jak mówiono, bezmyślnemu kłamstwu profesora, tem bardziej, iż wszyscy widzieli dobrze, że on wcale do zamku nawet nie doszedł, gdyż ledwo się oddalił od obozu o jakie sto kroków, zaraz został uniesiony w powietrze i ruchem wirowym obleciał kilkakrotnie wieże nieprzyjacielskiego zamku. Wszyscy też dobrze widzieli, że on wcale nie wracał do obozu pieszo, lecz spadł tuż przed nim z obłoków. Śmiano się, że wielki uczo-ny w chwili, gdy był pewnym, iż wykonywa swe ścisłe badania — wywijał tylko śmieszne koziolki w powietrznej próżni — w obłokach...

Nie opowiadałem panu jeszcze tego o naszym biednym doktorze? Świetnie mu się udało ekspedycya nieprawdaż? — śmiał się dziadek.

— Ależ to nie ten Menszel, który tutaj był zrana — to pan mówi o innym uczonym podobnego nazwiska.

— E! — odparł dobrodusznie starszek. — Ten Menszel, albo inny Menszel, lub jeszcze inny Menszel, to nie stanowi żadnej różnicy.

To zawsze — tylko Menszel.

## ROZDZIAŁ XI.

### PAN HIPOLIT TRUCHŁO.

Muszę przyznać, że przez te kilka dni ostatnich, mimo całej miłości mojej dla Leony, więcej zajęty byłem dziadkiem i głównie tem, co opowiadał o wojnie, aniżeli jej osobą. A przyczyna moich zazdrosnych udręczeń — ów posępny młodzieniec, który raz w nocy mię naszedł, całkiem mi wypadł z pamięci.

Jednakże groźne „zobaczymy“ tajemniczego rywala nie pozostało bez skutku.

Raz o samej północy (a działo się to we śnie) zapukano do drzwi mego pokoju, i ku wielkiemu zdumieniu memu z powodu tak późnej wizyty, weszło dwóch panów. Obaj byli bardzo młodzi i w bardzo długich czarnych surdutach, bardzo bledzi na twarzy i pełni jakiejś uroczystej dumy.

— Pan X. Y. Z...? — zwrócili się z zimnym ukłonem.

— Tak, ja nim jestem. Z kim mam przyjemność i t. d.

— Przychodzimy w imieniu pana Hipolita Truchły...

— Nie mogę sobie przypomnieć tego nazwiska. Kto to jest taki?

— Jakto? nie przypomina pan go sobie?... — Spojrzeli po sobie z powątpiewaniem. — Przyśliśmy właśnie w sprawie wiadomego z nim zajścia... Musi się pan domyślać...

— Może to ten posępny młodzieniec, który był tu u mnie kiedyś w nocy?

— Tak to jest właśnie pan Truchło.

— Więc panowie żądają?...

— Wyjaśnienia... małego — rzekli, podając mi karty. — Raczy pan wskazać nas w swym świadkom...

— Przepraszam bardzo panów — odrzekłem trochę gniewnie — lecz nie widzę tu potrzeby żadnego wyjaśnienia. Zresztą nie mógłbym zadość uczynić nawet najpierwszej formalności, której żądacie. Nie znam w tych stronach nikogo; a żadną miarą nie pozwoliłbym sobie mieszać w podobną sprawę wiekowego starca, którego jestem gościem...

Świadkowie pana Truchły z niechęcią wzruszyli ramionami.

— Jednak tę sprawę należy honorowo załatwić — odrzekli surowym tonem.

— I jeszcze z bronią w rękę? — dodałem żartobliwie. I mimo gestu protestacyi obu:

— Zdaje mi się — ciągnąłem dalej, (tak w śnie, jakby to było na jawie), — zdaje mi się, że najlepiej będzie postawić tę sprawę na właściwej drodze. Jeżeli okaże się, że pan Truchło ma większe prawa w wiadomej panom kwestyi odemnie,



w takim razie uczynię zażość jego żądaniu i zaraz stąd wyjadę. Jeżeli zaś jest przeciwnie, i ja więcej mam praw od niego, to dadzą mi panowie przyrzeczenie, że on usunie mi się z drogi.

Młodzieńcy znowu zamienili porozumiewawcze spojrzenia, i jeden z nich przemówił tonem bardzo solennym:

— Ręczy pan za to honorem?

— Naturalnie.

— W takim razie załatwionem to będzie w myśli pańskiej propozycji.

I skłoniwszy się sztywnie, znikli.

Było to we śnie, ale pamiętam dokładnie, że przez czas jakiś zostawałem pod wrażeniem tego bądź co bądź niemiłego zajścia. Przez cały dalszy ciąg nocy śniły mi się nieustannie pojedynki i świadkowie, świadkowie i pojedynki z wymianą niejednokrotną strzałów, w których niejednokrotnie zabijałem mego przeciwnika. Wyszedszy zwycięsko i z ostatniej rozprawy, znalazłem się w jakimś dziwnym lesie, gdzie drzewa przechadzały się jak ludzie, a księżyc, przeskakując z gałęzi na gałąź, stoczył się wreszcie na ziemię i usiadł na małym pagórku, gdzie rosły olbrzymie grzyby. Siedziała tam Leona, trzymając w ręku borowik z większą jeszcze od ronda jej kapelusza koroną i ciekawie mu się przyglądała. Rzuciwszy go wreszcie, wzięła na kolana księżyc i zaczęła go gładzić po złotej łysinie. Ujrzała mnie, nśmiechnęła się z wyrazem lekkiego wyrzutu i zapytała łagodnie:

— Czemu pan mi nie ufa i podejrzewa tak brzydko? Przecie pan wie, że ja pana kocham. Po co więc być zazdrosnym o tego biednego nieboszczyka?

— Nieboszczyka...

— A tak. Był to dobry i sympatyczny chłopak, chociaż trochę szalony... On kochał mnie bardzo, o, bardzo... ale bez wzajemności. Szarpał się strasznie. Każdego, z kim zamieniłam dwa słowa, gotów był posądzić... Zazdrościł okropnie. Rzucił się, wyprawiał awantury, wyzywał na pojedynki. I otóż, mówiła smutnie, sam w pojedynku zginął. Przyjechał tu do nas tak samo jak pan, dwa lata temu, ze swym przyjacielem. I stało się to nieszczęście. Przyjaciel go zabił... Tak mi przykro, że ja byłam przyczyną, chociaż oczywiście mówiłam nieboszczykowi, że go nie mogę kochać. Tak mnie jednak wzruszyła śmierć tego biedaka, że chodzę codzień na jego mogiłę — wie pan, pod krzyż, co nad drogą, w samym kącie cmentarza i zanoszę mu nieśmiertelniki.

O! on kochał mnie bardzo, nawet i po śmierci kochał... Nie mogłam się tem nie wzruszać, póki był grzeczny i spokojny — taki był strasznie smutny! Lecz od czasu pańskiego przyjazdu stał się zupełnie nieznośnym. Musiałam z nim zerwać przyjaźń.

— Więc to był duch? — zapytałem zdziwiony.

— Tak duch. To wszystko jedno, duch czy żywy człowiek. Dziadus powiada, że i żywy czło-

wiek może być duchem, a umarły czasem może duchem nie być... To wszystko jedno zupełnie...

I całą noc miałem snów pełną.

Ale te róże, te róże, które Leona wpinała w stanik?... To wiem, co znaczy... domyśliłem się we śnie: była to miłość tego biedaka i po śmierci żywa, choć blada i bezwonna, do jej piersi lgnęła...

Nareszcie zdało mi się, że Leona spłynęła ku mnie z błękitów i tak zbliżyła się, że czułem jak jej twarz dotykała mojej, czułem jej ciepły oddech i bicie jej serca tuż przy mojem, obok.

W domu wszyscy byli przejęci ostatnimi wynikami wojny. Rozpamiętywano szczegółowo epizody i rozprawiano nad tem, czy ludzie zdobędą się na wymyślenie skuteczniejszych sposobów walki z duchami, niż te, którymi walczyli dotychczas.

— Czy już na dobre skończyła się ta wojna? — zapytaliśmy dziadka.

— Nie wiem — odrzekł z westchnieniem — czekajmy dalszych wiadomości.

Z Leoną rozmawiałem, a raczej marzyłem z nią razem o przyszłości świata, o dziwnej erze, która by przyszła, gdyby wszyscy ludzie zechcieli pogodzić się z duchami.

— O! — mówiła z przejęciem — wówczasby ludzie z pewnością zaniechali wojen... zapanowałby pokój...

— I szczęście...

— I sprawiedliwość...

— I miłość? Prawda, Leono, i miłość?!...

I wreszcie, przerywając rozmowę zapytaniem nagle:

— Czy seu — rzekłem — który miałem dziś w nocy, sprawdzi się?

Przybrała ów tak mi znany skupiony i posępny wyraz, westchnęła i z lekka przybladła.. Po chwili żywszy widocznie odblask płomieni komin-ka oblał ją dziwnie różowem zarzewiem...

— Tak — rzekła z cicha.

Mistyczny dreszcz przeszedł po mnie, i serce uderzyło głośniej...

— A to ostatnie, co śniło mi się przed samem przebudzeniem, rano?... czy to też się sprawdzi? — spytałem głosem miękkim, pieszczotliwym.

Milczała drżąca, cicha, zapłonioua...

-- Więc kochasz mnie?

— Wiesz o tem -- wyszeptala, chyląc się nisko, jakby pod ciężarem dotkliwego ciosu...

Prawdziwą radość wyrazili staruszkowie na wieść o naszym porozumieniu. Zdało mi się, że prócz radości doznali jeszcze jakiejś niewymownej ulgi. Wypromienieli cali.

— Nareszcie! — westchnął uszczęśliwiony dziadunio. — O, ja czekałem już oddawna na to! — rzekł.

— I ja — wesolo dorzuciła staruszka.

— Jak to?

— A to dobre! A cóżeście wy sobie myśleli najlepszego. Patrzcie ich!... — odrzekła tonem udanej nagany.

Siedząc teraz we dwoje w kątku, nie rozmawialiśmy prawie. Wsłuchiwaliliśmy się w milczeniu w radość naszą, bojąc się brzmieniem głosu nie spłoszyć w głębi melodyjnych gwarów... Dusze nasze przenikały się wzajem — jak dwie spływające się w jedną fale: spotkały się zabłąkane w odmęcie i, dążąc ku sobie, zwały się razem, cofnęły, i zapienione srebrem marzenia spływały w jakąś jasność przejrzystą, jedyną, tworząc ten szum ogarniający szczęścia... Doznawałem wrażenia, że serce Leony bije we mnie, a moje słodko zamiera w jej łonie. Że patrzę na świat nie sweni, lecz jej dziewczęmi oczyma. Że nasze pragnienia, myśli i tęsknoty, dla których nie istnieją przepisy, zamieniają się ciągle miejscami, że uprzedzając dzień ślubu, tańczą już weselnego kotyliona.

A co się nie działo z filofosami!

Kiedy ująłem dłonie Leony i zatrzymałem je w swoich, tęczowe niteczki, których dziś było pełno wszędzie, jak nigdy, zaczęły się czepiać nas mocniej i obwijać, i wiązać, i prząść się wkoło nas z pieśczęcią, jak gdyby chciały powiedzieć: „Czekajcie! zaraz was jeszcze mocniej zwiążemy tem, co haftuje babcia“...

I winąc się lekko w około głów naszych i włosów, rozwiewały się w jakieś powoje z przejrzystych światelek... i biegły wkoło nas, migając i krążąc bez końca, w coraz to szersze po całym pokoju rozświetlając się kręgi...

Po całym pokoju, po kątach wszystkich i pod sufitem łączyły się, skrzyły, migotały jakieś zło-

ciste pasemka. Rzekłbyś za trwożnem zakłębieniem naszych ust, czarnoksięskich miłością, przywionął tu z rajnu rozkoszy dech łąk radości i za podmuchem naszych zmieszanych oddechów poruszał się drżący, ulotny i bujał, i złościł się, i srebrzył, i snuł się i rozesnuwał w tęczowe puchy, mgły, pajęczyny...

A tymczasem na stole duże filofosowe motki poczęły się żwawo poruszać, wydłużać się w zwyż, podskakiwać, i rzekłbyś, pociągane niewidzialnymi drucikami w marynetkowe puszczały się pląsy.

Naparstek wypadł z rąk stroskanej staruszki i długo toczył się po dywanie, zbyt długo zataczał kręgi dokoła jej fotelu. Nożyce z brzękiem skoczyły na podłogę i same się zamknęły, i znów się same rozwarły, zgrzytnąwszy stalowemi zębami. Igła gdzieś nikła w niepojęty sposób i pojawiała się znowu, złota, mieniąca się blaskiem barwenu, wydłużała się, grubiała, ogromniała, poczem, wróciwszy do swej dawnej wielkości, zaprzepaszczała się gdzieś z powrotem.

— A to rozdokazywała się ta... elektryczność!... Przechodzi ludzkie pojęcie... — mruknęła babka gderliwie, nie mogąc dać sobie rady z tem wszystkim.

Dziadek, promieniejący ironią, w milczeniu przeglądał dzienniki, cały w nimbach gęstego dymu, co buchał z wulkanu jego fajki. Od czasu do czasu puszczał z ust niebieskawe, obwarzankowate kółka... i kółka te jedno za drugim leciały ku nam przez pokój i w mgliste się rozwiewały floresy...

Od tego wszystkiego migotał po ścianach ruch jakiś i kładły się cienie niejasne, fantastyczne. Może padały to cienie od naszych myśli i marzeń tęskliwych, drżących, nieśmiałych...

Nareszcie raptowne odezwanie się dziadka zerwało ten czar rzewnych ukołysań, ten półsen marzeń rozkoszy, wprawiając nas w jeszcze większą radość.

— Ślub musi odbyć się zaraz — rzekł — jak najprędzej. Słyszycie? Jutro daję na zapowiedzi.

— A ja dziś kończę stulę — rzekła babka.

---

## ROZDZIAŁ XII.

### ŻELAZNY STONÓG.

Nie wiem, czy ów ponury nieznajomy, który mi tyle krwi napsuł, nazywał się istotnie Hipolitem Truchlą — i nie wiem, czy to się stało wskutek umowy, zawartej we śnie z jego honorowymi zastępcami, dość, że od czasu zaręczenia się z Leoną nie spotkałem już więcej tej tajemniczej osoby.

I pierzchły wszelkie zazdrości o przeszłość, o upiora, którego przez małoduszność swoją na utrapienie własne sami wyzywamy z mogiły. Chciwością jakiejś pełni urojonej szczęścia, bywamy podobni do skąpca, który, mając całe kufry dukatów, wyrywa sobie włosy na pogrzebie biedaka z rozpachy, że ten niezdolał mu zwrócić pozostałego jeszcze grosza z procentu. Więc pierzchły truchlą, zapewne dlatego, że zrozumiałem, iż nie należy żądać zbyt wiele od ukochanych — należy im jaknajwięcej dawać: maksyma zrozumiała dla tego, kto kocha i kto kocha tak właśnie, jak ja kochałem wówczas.

Zaczęły się gorączkowe przygotowania do ślubu. Zjawily się jakieś dziewczęta do pomocy Leo-



nie i babce, w kłopotliwych zajęciach, dotyczących pewnie wyprawy, lub bo ja wiem czego, i cały dwór się zaroił od służby, która niewiadomo skąd się wzięła.

Nastąpił wreszcie dzień ślubu — ten najsrebrniejszy z snów życia. Przyszedł ze śniegiem gęstym i zawiął budynki po same okna. Zima w swem futrze królewskiem podążała na gody.

Z wesołem gwarem odrzucano zaspy z pod gauków i ubijano na dziedzińcu ścieżki.

A paunę młodą tymczasem strojono w alkierzu. Nareszcie ukazała się, cudna, rozkoszna, niby podśnieżne zjawisko, cała w bieli szat powłóczyстых, z długim aż do ziemi welonem, utkany, jakgdyby z rozwiewności mgły samej, lub z owych śnieżków najlżejszych, co ledwie spaść mają z obłoku...

O dobrym zmerzchu zaczęli zjeżdżać się družbowie, krewni i całe tłumy znajomych.

Dziadek sztywniejszy niż zwykle, wystrojony, w długim surducie, jakie noszono w początkach zeszłego stulecia, z szerokim krawatem i sztywnym kołnierzem, uprzejmie i uroczyście podejmował gości. Staruszka, w szerokiej odstającej u spodu, dzwoniastej sukni czarnej, z koronkami u szyi i przy rękawach, w upiętym starannie czepczku, z pod którego, po obu stronach skroni, wyglądało, utrefione gwoli uroczystości, szlachetne srebro jej włosów, uderzała sentymentalną dystynkcyą naszych prababek.

Gęściej zamigotały za oknami światła od latarni u powozów i od pochodni, wiezionych przez forsyśców przed karetami. Zaroilo się całe podwórko wielką ciżbą ludzi, zjeżdżających się tak, jak do teatru — wszyscy na jedną godzinę. Strzelauina z batów, gwar, głosy dzwonek u sani, rzenie i tętent koński, to wszystko razem zagrało we mnie, jak fala jakiegoś nagle zrywającego się życia...

Lecz jakież to były powozy! jakie zaprzęgi i jak rozmaite!... Skąd tyle różnorodności w jednej okolicy!... Oto zaczęły się zjawiać niezwykle postacie, pełne powagi lub werwy, przypominając strojami wiszące na ścianach portrety. Niektórzy byli wprost do tych portretów podobni, jakby z umysłu ncharakteryzowani na antenatów domu. Twarze wąsate, podgolone czupryny, barwne kontusze, napoleońskie mundury, fraki i pudrowane peruki. Ledwom zdążył przetrzeć oczy, niepewny, czy mi się nie roi, gdy wszystko to otoczyło mnie zewsząd, witając i składając życzenia. Oszołomiony zupełnie, nie mogłem się zastanowić, co znaczy ta maskarada. Tak byłem zresztą całkowicie zajęty sobą i Leoną, że nawet i później nie namyślałem się nad tem zbyt długo. Widocznie panuje tu zwyczaj urządzania kostyumowych balów na weselach. Wyglądało to jednak na jakąś raczej retrospektywną wystawę strojów za dobre parę wieków.

Najbardziej honorowano pewnego dosyć młodego mężczyznę, o surowym wyglądzie, w skromnem

szarem ubraniu, w ciężkich butach z ostrogami, z blachą na piersi i plecach (co wyglądało na pancerz), z kołczanem i z rycerskim pasem u bioder. To może był protoplasta rodu...

Gdy weszła moja narzeczona, piękna jak nigdy przedtem, i cała jakby z konwali, zaczęto się kupić koło niej. Na całej sali zawrzało od zgiełku i wesołego gwaru...

W tym różnobarwnym orszaku, przy wieśniaczych banderyach z kilku wsi, które się jakby naraz zerwały z pod ziemi na nasze święto, po śniegu sypkim, głębokim, wśród ciemna, z setką pochodni, lecieliśmy do zapadłego kościółka, gdzie stary, siwy jak gołąb proboszcz miejscowy, we wspaniałej świecącej się kapie, na wieki związał nam ręce znaną babciną stulą.

Wracałem z żoną sam na sam w przestronnej karecie, niesiony gdzieś jak po gwiazdach i po obłokach. Wszystko się skrzyło, świeciło i grało w uszach naszych, a senność szczęścia cichego kołysała serca...

Za nami mknęła gwarliwa czereda, liczniejsza jeszcze niż przy wyjeździe do kościoła i gęsto rozlegały się strzały wiwatów.

Działo się to wszystko tak szybko i tak błyskawicznie... i tak przemknęło, niby jedna chwila!...

Już byliśmy znowu we dworze — wśród tłumu gości. Ja cały zresztą — głównie w oczach mej żony, w jej rumieńcach i uśmiechach, które wydawały mi się jeszcze bardziej cudownymi i czarującymi, niż wszystko, co się dookoła nas działo.

A czegoż się tam nie działo owej nocy!.. Sądziłbyś, że niebiosy zniżyły się nagle nad domem, a gwiazdy tłocząc się ku oknom, chciały się przyjrzeć weselu: zbliżyły się tuż, tak blisko, aż się zdawało, że tkwią w samych szybach i skrzą się i migocą pomiędzy kwiecistymi floresami mrozn...

A za oknami, na dworze, a w ogrodzie, gałęzie drzew całe w szronie, jakby pod cudem żywym nginały się pod ciężarem purpurowo złotych hesperyjskich jabłek...

Dachy zaś dworskich budynków mieniały się, jakby tlejąc, ogniami nieprzebranych, świecących się skarbów, całe w szmaragdach i chryzolitach.

Dwór rósł, ogromniał, rozszerzając swe ściany w miarę napływania gości i napelniając pokoje blaskiem królewskich pałaców.

Przebrzmiała huczna polonezowa muzyka, przeroiły się fantastyczne pary: mężczyźni w strojach mieszanych — kobiety w lokach i z długimi trenami. Przebrzmiały setne toasty, mowy i gwar niemiłknący wesela — i cała noc przeleciała, jak mgnienie...

Pamiętam, gdy świt już miał się zaczynać, i gdzieś odezwał się kogut, zerwali się nagle wszyscy goście, jakby na znak umówiony i ściskając nam ręce i znowu składając życzenia, zaczęli się spiesznie żegnać i rozjeżdżać.

Siedziałem obok Leony, i oboje patrzyliśmy w okno. Z szybkością nie do uwierzenia jeden za drugim podjeżdżały, a raczej przylatywały powozy — i ledwie który zabrawszy gościa ruszył i zawrócił — już go nie było widać. Ostatni zwłaszcza, ledwie odjechał od ganku, znikł nam tak szybko z oczu, jak gdyby rozpułynał się w brzasku, który już właśnie się przedarł przez mgłę nocy.

— Zobacz! zobacz Loniu! co za magiczny odjazd! — zawołałem.

— To zapowiedź cudów naszego szczęścia, które już się zaczęło — odrzekła patrząc nie w okno, ale we mnie.

Nazajutrz było znów cicho we dworku i pusto, jak bywa zawsze po weselu.

Przygotowano już wszystko do naszego wyjazdu. Dziadkowie byli wyraźnie za najspieszniejszem pozbyciem się swych ukochanych wnuków.

— Musicie zaraz jechać — mówił staruszek. — Przejeźdźcie się. Ty teraz — rzekł do mnie — masz pozalać naprzód interesa, więc do M... A potem — w podróż poślubną za granicę.

— Tak! — dodała babka. — Musicie zaraz stąd jechać. Jak najprędzej.

Wzdychali przytem i smucili się, że muszą rozstać się z nami, mimo to nalegali stanowczo. Widziałem w nich wielkie zmęczenie, zwłaszcza na twarzy staruszki tak wielkie, tak wielkie, że zdawała się już jakby marzyć o wiecznym spoczynku. Nieruchoma i senna siedziała sztywnie, półleżąc, odrzucona plecami w fotelu i wyglądała przezroczyściej jeszcze, niż zwykle, a profil jej twarzy nabierał jakiejś przenikliwej ostrości i ciemnych zaśniedzeń w kątach warg i pod oczami...

Prędko zabrawszy Leonę, udała się do sypialni. A ja pozostałem ze staruszką, który był również blady i znużony i nie miał już swej gazetki (widocznie z powodu weselnych kłopotów zapomniano odnowić prenumeratę). Nie czytał już nawet książek, mało palił i zapominał nawet częstować mnie swoją wyborną tabaką. Uśmiechał się łagodnie, dobrotliwie i popatrywał na mnie w zamyśleniu, pełen jakiegoś cichego wyrazu. Nie mogę do dziś dnia zapomnieć twarzy dziadka z tego ostatniego wieczoru. Była ironiczna jak zawsze, lecz zarazem i dziwnie smutna, zrezygnowana, a jednocześnie tak cała promieniejąca, iż gdym się w nią wpatrzył z uwagą, wydało mi się, że to nie z rysów idzie ta jasność, lecz z jakiejś bladej świetlistości, bijąc z samej cery jego twarzy, jak również i ze skóry rąk jego jasnych, jak białość opłatka, oświeconego księżycem.

— Jaki ja rad jestem, jaki rad jestem, że to nie komu innemu, lecz tobie dostała się nasza

dziewczyna!... Taką mam pewność jej szczęścia, bo w pewne oddałem je ręce.

— Ty — spojrzał na mnie z powagą — usłuchaj rady mojej: nie zastanawiaj się nigdy zbyt wiele nad temi dziwnymi rzeczami, z któremi los zetknął cię tak szczęśliwie. A widzę, że jako dziecko swej epoki, masz ów dziecinny narów do badania. Nie trzeba badać wszystkiego, nie trzeba starać się mózgiem rozłupywać tego, co wcale nie jest dla mózgu orzechem do zgryzienia — bo służy do innych celów. Nie rozpaczaj, że ducha nie potrafisz zrozumieć. Ducha nie trzeba rozumieć, trzeba mu dać dostęp do siebie i być z nim. Nie wszystko w jednakiej mierze jest dla wszystkich pojętem. Wiesz o tem... Lecz są też rzeczy niedostępne dla niczyjego mózgu. Istnieją inne władze w człowieku — te wyście lekkomyślnie zgłuszyli na korzyść jednej wyłącznej żądy mierzenia i liczenia. Pozwól, niech owe władze rozwijają się w tobie — to będziesz bliższym mądrości...

A zwłaszcza nie mów o tych rzeczach twej żonie. Ona sama wie tyle, ile należy, ma świadomość tego wszystkiego, tylko, na szczęście swoje, nie stara się formułować tego mózgiem. Zresztą — to wcale niegłupia dziewczyna, ona jest jasnowidząca...

Ach, czas mi już odejść, — przypomniał sobie. Ale prawda, dodał głosem słabnącym, nie gadaliśmy jeszcze o wojnie.

— Więc ona się jeszcze nie skończyła?...

— Nie miałem czasu zakomunikować ci tej wiadomości...

— Jakiej?...

— Duchy się cofnęły.

— Cofnęły po zwycięstwie?!...

— Tak, one mają swoją taktykę. Duchy cofają się po zwycięstwie. — Z początku myślałem, ciągnął, spiesząc się bardzo coraz bledszym i płaczącym się głosem, że prędki będzie już koniec tej walki... Lecz — nie posunęły się dalej... ale nie z powodu ludzkiej wojowniczości, lecz z innych, daleko ważniejszych powodów... Ludzie się prędko obejrzą i ochłonawszy po strachu, wymyślą jeszcze niejedną armię i gorszą i piekielniejszą, niż owa słynna z automatów...

A teraz ci, co nie uznają ducha, wzrastają w złość i potęgę, i gnębić będą przynajmniej tych, co go uznają, bo ci pogardzają, małością ich zabiegów i nieczemnością ich broni.

Gdy wrócisz na świat, zastaniesz pokój między mocarstwami, lecz pokój grzmiący żelazem. Wszystko się zbroi bez końca. Zbroi się przeciw duchom.

Ale posłuchaj, rzekł, położywszy mi rękę na ramieniu, ale to wszystko na nic. Duchy w końcu zwyciężą i...

— I?... zapytałem wzruszony.

— I będzie dobrze na ziemi. — Świat powróci ci znowu...

— Do arkadyjskiej sielanki — krzyknąłem w uniesieniu.



— Tak, do sielanki. Nie do tej dzikiej z przeszłości, lecz do tej wielkiej, która będzie...

To rzekłszy, patrzył na mnie, a z twarzy jego biła powaga i spokój tak nicobjęty, dławiący nawet ironię i dziwaczność rysów, taki niezmierny, zimny i nieubłagany, że niemasz w świecie innej, bardziej wielkiej grozy.

Na kogoż nie wionął chłód jej lodowaty i czyjej on z czasem nieomroczy skroni!...

Pożegnał mnie prędko i wyszedł.

Lecz słowa jego ostatnie wprawiły mnie w stan żywej ekstazy, w którym się nie drży nawet przed tą grozą...

— Ale kiedyż nastąpi owo pojednanie?... jak prędko?... Czy my, lub dzieci nasze przynajmniej dożyją dnia tego?...

Z temi zapytaniami w ślad za staruszką wpadłem do jego pokoju.

Na biurku paliła się lampa z zielonym daszkiem; przed nią leżały okulary; obok stał podróżny fotel. Obejrzałem się dokoła ze zdziwieniem...

Pokój był narożny, bez drugiego wejścia... Przeszedłem się po nim, obejrzałem wszystkie kąty. Był pusty i dziwnie zimny. Nie było w nim dziadka.

Nareszcie przyszedł czas wyjazdu. Okazało się, że, aby zdążyć na najbliższą stację, potrzeba czterech godzin drogi. Pociąg odchodził o jede-

następ w nocy. Była więc siódma godzina, gdy konie nasze zarżały pod gankiem.

Pożegnawszy się ze starszami, i odebrawszy błogosławieństwo, ucałowaliśmy ich zimne jak lód ręce.

Już wsiedliśmy do powozu; a dziadek, odprowadzający nas, jeszcze stał na ganku i dopowiadał z pośpiechem swe uwagi.

— Nie zapominajcie — mówił coraz to szybszym i coraz mniej wyraźnym głosem — o nas starych. Ty, Loniu, nie zapominaj i pomódl się czasem za dziada.. A ty, zwrócił się do mnie, skorzystaj z doświadczonych rad moich i z tego wszystkiego, o czem się dowiedziałeś w zapadłej głuszy tego domku.

— Czekajcie jeszcze — kończył, okropnie się spiesząc — jedziecie do bezdusznych ludzi... Choć i na świecie waszym jeszcze tak źle nie jest..

Pamiętajcie, jeżeli ruiny milczą, nie sądzcie, że są puste... I w domu własnym nie lękajcie się ducha...

I gdy wymawiał te słowa, był taki bladziutki, że mi się zdało, iż przez jego piersi i ubranie prześwieca się klamka od drzwi gankowych, i że cała postać jego robi się przezroczystą, że się przekształca w jakąś mgłę świetlną i smugą podłużną rozwiewa się w powietrze... I tylko jeszcze błyszczały okulary dwa razy większe, niż zwykle; spłonęły ogniem czerwonym, a potem niebieskim, i blednąc, tliły się ledwo, przez chwilę, i nareszcie zgasły. Słysząc było już teraz tylko głos jego

kończący zdanie, lecz odzywający się nie już z ganku, a kędyś z dołu lub z góry, może z pierwszego piętra, — biegł ku nam, jakgdyby krążąc echowo po ciemni pustej przestrzeni:

„ . . . . bo on zwycięży“.

— Co to jest?! Leoniu?! — szepnąłem w przerażeniu.

Lecz ona w tym samym czasie, chcąc zapewne skrócić ciężką chwilę pożegnania, odezwała się do woźnicy:

— Już jedźmy!

I konie ruszyły.

Zaledwo wyjechaliśmy za wrota — odwróciłem się.

— Co się stało? — zawołałem, blednąc. Światła w oknach pogasły tak nagle!! i wszystkie naraz!!

— I gdzież się podział ten dom?! Niema go wcale!...

Nie było go najwyraźniej. W miejscu, gdzie szukałem ciemnego kształtu dworu, widziałem już tylko jasnawą bladość przezierającego przez gałęzie nieba.

— Co to się stało z dworem?! Znikł!!

— Tak, znikł w ciemnościach — odrzekła Leona. — A okna zgasły, bo oni już poszli na spoczynek.

— To widma!... chciałem wykrzyknąć. Lecz głos mi uwiązł w gardle... To tylko widma... cienie...

Już od pierwszego dnia przyjazdu mego wiedziałem, że to były tylko cienie... lecz ta świa-

domość moja, tkwiąca w głębi uczucia, dopiero teraz sformułowała się w mózgu.

Nagle zrobiło mi się przeraźliwie straszno.

— A Lona! moja Lona?! — przemknęła myśl rozpaczliwa, to może i ona jest marą i jak tamte rozwieje się — zniknie?!!

Lecz ona w tejże chwili mocniej przytuliła się do mnie, i jakby chcąc stłumić moją trwogę:

— Nie!.. jestem z tobą na zawsze! — przemówiła z pieśczołą, garnąc mię w drogie ramiona — z tobą na wieki, razem!..

. . . . .

...Za odezwaniem się kolejowego dzwonka, gwizdnięciem pary, ostępowaniem biletów — przysł czar prześnionych marzeń.. urwały się „filoflozy“...

Wkrótce siedzieliśmy w ciasnym wagonie. Potworny stonóg z żelaza zdawał się jakby skrzydlatym, unosząc nas lotem strzały w świat nowy, pełen zgiełku, w wir nowego życia, otwierającego się przed nami pełnią nowych cudów, nowych prawd i omamień i walk i porywów ducha.



## SPIS RZECZY.

---

	Str.
ROZDZIAŁ I.	
NAUCZYCIEL PRYWATNY . . . . .	5
ROZDZIAŁ II.	
PRZEWOŹNIK . . . . .	29
ROZDZIAŁ III.	
FILOFLOSY . . . . .	50
ROZDZIAŁ IV.	
KRYTYCZY MAGOWIE . . . . .	70
ROZDZIAŁ V.	
ZŁOTE JABŁKA . . . . .	84
ROZDZIAŁ VI.	
AMBASADY ZAŚWIATÓW . . . . .	102
ROZDZIAŁ VII.	
MCHY — CHRYZOLITY . . . . .	112
ROZDZIAŁ VIII.	
ZAZDROŚĆ . . . . .	123
ROZDZIAŁ IX.	
WOJNA . . . . .	132
ROZDZIAŁ X.	
MENSZEL . . . . .	157
ROZDZIAŁ XI.	
PAN HIPOLIT TRUCHŁO . . . . .	169
ROZDZIAŁ XII.	
ŻELAZNY STONÓG . . . . .	178

---

СЛУЖБЕНИ